



**MARION LENNOX**

**Niebezpieczna znajomość**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gina Buchanan była bardzo sumiennym lekarzem. Już przed wielu laty uznała, że tylko dzieci działają pod wpływem impulsu.

Wiedziała, że nie powinna zostawać tu dłużej. Było już ciemno, Wayne czekał na nią, lecz rozpościerające się w dole miriady świateł wyglądały tak pięknie, że nie mogła się oprzeć pokusie. Tym razem uległa impulsowi.

Leżące u jej stóp miasteczko Gundowring wyglądało jak morze światła. Wschodzący księżyc kładł się srebrną smugą na wody oceanu i ciemniejące ujście rzeki. Do zatoki wpływała właśnie powoli jakaś łódź rybacka. Wszystko wyglądało cudownie.

Gina wciągnęła do płuc ciepłe, letnie powietrze australijskiego wieczoru i poczuła się dobrze po raz pierwszy od chwili, w której wyraziła zgodę na małżeństwo z Wayne'em.

- To była słuszna decyzja - wyszeptwała. - Mogę tu być szczęśliwa. I bezpieczna...

Potem zmarszczyła czoło i odsunęła się od barierki. Ciszę rozdarł nagle stłumiony huk.

Kiedy dotarła do samochodu, huk nie był już stłumiony. W górę wzniesienia mknęło z rykiem silników dwadzieścia... nie, trzydzieści kilka motocykli. Ich kierowcy zjechali z głównej drogi, zmierzając w stronę platformy widokowej.

Wszystko w porządku, pomyślała. To tylko turyści, którzy chcą się tu zatrzymać, żeby obejrzeć widok. Tak samo jak ja. Wszystko w porządku.

Myliła się. Zanim uruchomiła silnik, otoczyło ją mrowie pojazdów. Nie mogła się ruszyć w żadną stronę. Przywódca grupy zsiadł ze swego wielkiego, zabłoconego motocykla, podszedł do jej samochodu i szarpnięciem otworzył drzwi.

- Co ja widzę? - wycedził ochryple, głosem zmienionym przez alkohol. - Nie tylko my przyjechaliśmy podziwiać ten widok...

- Proszę pana - wykrztusiła z trudem. - Niech mi pan pozwoli zamknąć drzwi. Już stąd odjeżdżam.

- Odjeżdżasz? Czy to uprzejmie? Przecież dopiero tu przyjechaliśmy i chcemy mieć towarzystwo.

Pozostali motocykliści stopniowo gasili silniki i podchodzili bliżej, by słuchać rozmowy.

- Nie... Muszę już jechać. Proszę mnie przepuścić. Patrzył na nią przez długą chwilę. Był potężnie zbudowany, puciołowaty i nie ogolony. Jego skórzany kombinezon zdobiły nieprzyzwoite napisy, a spod kasku zwisały tłuste włosy. Gina zauważyła, że pod kurtką coś się porusza, a po chwili dostrzegła z przerażeniem wystający spod niej pysk pit bulteriera. Pies warknął i obnażył zęby. Był niesamowicie podobny do swego pana.

- Tak nie wolno odzywać się do damy - upomniał psa mężczyzna i wepchnął jego pysk z powrotem pod kurtkę. Potem szybkim ruchem wyciągnął Ginę z samochodu. - Szczególnie do tak pięknej damy. Jak się nazywasz, kochana?

- Gina... Buchanan... Jestem lekarzem... - mówiła, rozpaczliwie usiłując zdobyć się na spokój. - Czekają na mnie w szpitalu...

- Lekarka... - Mężczyzna przesunął spojrzeniem po jej szczupłej sylwetce. Miała na sobie sportową białą bluzkę, niebieskie džinsy i sandały, a jej jasne, nie upięte włosy zakrywały ramiona. Patrzyła na niego ogromnymi błękitnymi oczami. - Nie przypominasz lekarzy, jakich widywałem do tej pory.

- Ale jestem lekarzem...

- Wierzę ci, panienko - odparł z uśmiechem, nadal trzymając ją mocno za ramię. Wolną dłonią uniósł jej podbródek. - Nigdy nie robiłem tego z lekarzem.

Motocykliści zachichotali nerwowo.

- Spróbuj mnie tknąć, a posłę cię za kratki tak szybko... - wykrztusiła, mając wrażenie, że przemawia nieswoim głosem.

Potem wydała okrzyk bólu, bo mężczyzna chwycił ją za włosy i szarpnął do tyłu. Kiedy straciła równowagę, przyciągnął ją brutalnie ku sobie.

- Za kratki? Naprawdę? Ty i kto jeszcze?

Wiedziała już, że nie powinna była tego mówić. Napastnik był pijany, a groźba podziałała na niego jak czerwona płachta na byka. Ciągnąc ją za włosy, zaczął przepychać się przez tłum motocyklistów w kierunku lasu.

- Nigdy nie pošlesz mnie do kryminału - zawołał z pijackim rechetem. - Mam trzydziestu świadków, którzy zeznają, że byłem na drugim końcu miasta. A teraz zamknij się, ty dziwko!

- Dotarł już do drzew i pchnięciem wywrócił ją na ziemię.

- Zostaw ją w spokoju! - zawołał ktoś spoza tłumu motocyklistów. Miał młody, wyzywający głos, ale wydawał się równie przestraszony jak Gina. Napastnik zeszywniał. Kiedy Gina próbowała wstać, uderzył ją tak mocno, że z powrotem upadła na ziemię. Potem odwrócił się i spojrzał na swoich kolegów.

- Kto do cholery to powiedział?

Przez tłum motocyklistów przedzierał się młody człowiek. Gina odwróciła się z wysiłkiem i ujrzała go jak przez mgłę. Był młody, miał około dwudziestu lat. Zdjął kask, ukazując grzywę jasnych włosów. W świetle reflektorów jego twarz wydawała się trupio biała.

- Zostaw tę kobietę w spokoju - powtórzył. - Jeśli ją zgwałcisz, pójde na policję. Ona ma rację: trafisz do więzienia.

- Ty mały... - Mężczyzna chwycił chłopaka za kłapy skórzanej kurtki i powoli uniósł jego twarz ku górze. - Nie znam cię. Kim ty do cholery jesteś?

- On nie należy do naszej paczki - odparł jeden z motocyklistów. - Po prostu jechał za nami. Mick, on ma rację. Zostaw tę babę w spokoju. I tak mamy dość kłopotów...

- Zamknij się!

Gina pełzała na czworakach, chcąc zniknąć z ich pola widzenia. Mick zauważył to, zaklął i kopnięciem powalił ją na ziemię.

- Jeden ruch, a cię zabiję - mruknął groźnie. - Leż tu, dopóki nie skończę z tym...

Chłopak nie miał z nim szans. Był wysoki, lecz szczupły, o połowę szczuplejszy od Micka. Ten uniósł go i pchnął do tyłu, rzucając plecami na barierkę, za którą otwierała się przepaść.

- Powinienem wypuścić na ciebie mojego psa - powiedział - ale chyba tego nie zrobię.

Nagłym ruchem uniósł go ponownie w górę i znowu pchnął. Rozległ się przerażający krzyk, a po chwili głuchy odgłos uderzającego o skały ciała. Potem zapadła cisza.

- Do diabła... - Jeden z motocyklistów wysunął się do przodu. Jego głos był pełen lęku. - Zabiłeś go, Mick. Ty idioto! Można się zabawić z dziewczyną, ale zabić...

- Jeśli ci się nie podoba, możesz stąd spływać - wrzasnął Mick, ale i w jego głosie czaił się strach. Chyba dopiero teraz usłyszał odbity echem odgłos uderzającego o skały ciała i zdał sobie sprawę z tego, co zrobił.

- Żebyś wiedział, że spływam - odparł motocyklista. - A jeśli masz odrobinę oleju w głowie, zrobisz to samo. - Podszedł do swego pojazdu i zapalił silnik.

- Przecież nie możecie... - Mick był wyraźnie coraz bardziej wystraszony.

- Zaraz zobaczysz, że możemy - powiedział inny z jego kolegów. Wszyscy w pośpiechu uruchamiali pojazdy i odjeżdżali. Po chwili na szczycie góry pozostali tylko Gina i Mick. Patrzył na nią, a ona czytała w jego myślach. Poppełnił w jej obecności morderstwo, była więc świadkiem.

Podszedł do niej powoli, odcinając jej drogę do samochodu. Mimo przenikliwego bólu w udzie cofnęła się o kilka kroków.

- Nie ruszaj się z miejsca, ty dziwko, bo poszczuję cię psem - warknął. Potem uderzył ją tak silnie, że znów upadła.

Nagle polankę omiotło światło motocyklowego reflektora. Czyżby to któryś z kolegów Micka wracał, żeby mu pomóc? Gina straciła poczucie świadomości. Klęczała w strumieniu światła, unosząc ręce w daremnym geście samoobrony. Wiedziała, że nie jest w stanie się obronić.

Silnik zgasł. Z motocykla zsiadł mężczyzna równie wysoki jak Mick, ale potężniej zbudowany. On też miał na sobie skórzany kombinezon, lecz czysty i nie oszpecony napisami. Głowę osłaniał mu czarny kask, spod którego widać było tylko gęstą, czarną brodę.

- Co tu się dzieje?

- Nie mieszaj się do nie swoich spraw - warknął Mick.

- Nic pani nie jest? - spytał brodac, patrząc na Ginę.

- On... - Nadal nie mogła wydobyć głosu. - On chce mnie zabić. Zabił już...

- Zamknij się, ty dziwko! - Mick odwrócił się i uderzył ją w twarz, lecz w tym samym momencie przybysz ruszył w jego stronę, musiał więc skupić uwagę na nim. Brodac wymierzył mu silny cios z prawej i natychmiast poprawił z lewej. Mick upadł, a jego pies rzucił się na napastnika.

Nieznajomy nie spodziewał się ataku, ale na szczęście kask chronił jego twarz. Uniósł ręce, by zasłonić szyję. Mick tymczasem powoli zbierał się z ziemi. Jego twarz wykrzywił brutalny uśmiech. Wiedział, że jego pies jest zabójcą i nie miał najwyraźniej żadnych wątpliwości co do wyniku nierównej walki.

Gina zrozumiała, że nie może pozostać bierna.

- Wstawaj... - szepnęła do siebie. - Rusz się. Nadludzkiem wysiłkiem dźwignęła się na nogi i rozejrzała gorączkowo wokół siebie.

O kilka kroków od niej stał stary stół, przeznaczony dla ludzi, którzy przyjeżdżali tu na pikniki. Jego blat zbito z czterech desek. Jedna z nich była obluzowana.

Gina podbiegła do stołu, chwyciła deskę i stwierdziła z radością, że jest w stanie ją podnieść.

- Chodź no tu! - krzyknęła.

Nie widziała dokładnie, gdzie kończy się pies, a zaczyna człowiek. Gdyby brodacz odwrócił się bokiem, mogłaby stanąć między nim a psem.

Dojrzał deskę, którą oburącz trzymała nad głową. Pies szarpał go za ramię. Mężczyzna zdarł z siebie skórzaną kurtkę i rzucił ją w kierunku Giny. Pies skoczył za nią...

- Teraz!

Nie była pewna, kto krzyknął... A może to słowo zabrzmiało tylko w jej głowie? Opuściła gwałtownie deskę. Wiedziała, że psy tej rasy walczą na śmierć i życie, że ma tylko jedną szansę. Włożyła w ten cios wszystkie siły. Pies był martwy, zanim jeszcze opadł na ziemię.

Nigdy jeszcze nie zabiła żadnego stworzenia, więc zrobiło jej się słabo. Kochała psy... Pit buli leżał martwy na ziemi, trzymając w zębach rękaw skórzanej kurtki.

Pozostał już tylko Mick, ale był mniej groźny niż przedtem. Nie miał już przy sobie psa ani gromady przyjaciół, więc zaczynał tracić pewność siebie. Oddychał ciężko i patrzył na przemian to na Ginę, to na swego przeciwnika.

Brodacz podszedł do motocykla Micka i stwierdził, że kluczyk jest w stacyjce. Wyciągnął go i po chwili namysłu rzucił z całej siły w kierunku przepaści, w której przed chwilą zginął młody człowiek.

Gina ze szlochem podbiegła do bariery i spojrzała w dół, ale dojrzała tylko bezdenną pustkę i ciemność.

Obrońca Giny zdjął kask, odsłaniając szczupłą twarz, kruczoczarne włosy i oczy, w których kipiał gniew. Mick dostrzegł to i zrozumiał, że nie wygra. Jego przeciwnik wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i nacisnął tylko jeden guzik. Widocznie numer był nagrany na stałe.

- Maggie, jestem na płaszczyźnie widokowej koło Skene. Przyślij tu natychmiast policję i karetkę. Pilne!

Mówił tonem człowieka przywykłego do wydawania rozkazów i pewnego, że jego polecenia zostaną bezzwłocznie wykonane.

- Zabiję cię - wykrztusił Mick. Po jego podbródku spływała strużka krwi.

- W takim razie musisz się pospieszyć - odparł brodac z obojętnym tonem. - Policja jest w drodze.

Mick spojrział na niego z bezsilną nienawiścią. W końcu zdał sobie sprawę, że zaraz nadjedzie policja, a on zabił przed chwilą człowieka. Opuściły go resztki odwagi. Odwrócił się i zaczął uciekać; w pół minuty później zniknął im z oczu.

- Zgarną go - stwierdził obojętnie nieznajomy. - Jest pani bezpieczna.

Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Potem dostrzegł krew, sączącą się przez nogawkę spodni. Zacisnął usta, a jego gniew wyraźnie się wzmógł.

- Ten chłopak... - Gina drżała jak liść, ale zmusiła się do mówienia. - On... On spadł z tego urwiska...

- Kto?

- Był tu jakiś chłopak. Mick przerzucił go przez barierę. Nieznajomy patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

W świetle reflektorów motocykli widział jej spuchniętą twarz i ranę nad łukiem brwiowym. Gina z trudem uniosła rękę i odgarnęła włosy z czoła. Wiedziała, że musi wyglądać jak dziewczyna z motocyklowego gangu.

- Chłopak? - spytał brodac.

- Oni chcieli... Oni chcieli mnie zgwałcić... A ten chłopak... nie był z nimi. Próbował ich powstrzymać, ale był sam. Mick zrzucił go w przepaść...

- Lloyd... - szepnęła nieznajomy. Zacisnęła dłoń na jej ramieniu tak mocno, że krzyknęła z bólu. - Mój Boże, to na pewno Lloyd. Jak on wyglądał?



- Był wysoki i szczupły. Miał jasne włosy. - Gina zaczęła się wyrывać. - Proszę mnie puścić. Może uda mi się do niego zejść...

- To na pewno Lloyd - oświadczył z ponurą pewnością siebie i podszedł do skraju urwiska. - Jest tu droga w dół. Proszę zostać i skierować tam karetkę. - Odgarnął na bok jakiś krzak i zniknął jej z oczu. Gina stała bez ruchu przez jakieś dziesięć sekund, zbierając myśli. Na platformie stały dwa motocykle, oświetlające barierę. A także jej samochód, którego drzwi nadal były otwarte. Czuła, że policjanci domyśla się, gdzie ich szukać.

Postanowiła również zejść na dół. Była lekarzem, więc jeśli ten chłopiec jakimś cudem przeżył, mogła mu być potrzebna.

Podeszła do samochodu i wyciągnęła z bagażnika swoją torbę lekarską w nadziei, że okaże się przydatna. Potem przez kępę krzaków ruszyła śladem brodacza.

Ścieżka opadała niemal pionowo w dół, ale na szczęście spod ziemi sterczały skalne głazy, na których można było postawić stopę. Gdyby nie światło księżyca, zejście byłoby niemożliwe. I tak upadała z dziesięć razy, zanim ujrzała w końcu sylwetkę mężczyzny, pochylonego nad nieruchomym ciałem.

Chłopiec nie spadł na sam dół. Zatrzymał się na półce skalnej, jakieś piętnaście metrów od szczytu urwiska, ale i tak musiał być okropnie potłuczony. Leżał zupełnie nieruchomo, a brodacz pochylał się nad nim i głośno kłął.

Gina bez słowa postawiła torbę na ziemi, podeszła z drugiej strony i dotknęła przegubu rannego, chcąc wyczuć puls.

Spojrzała na twarz brodacza i dostrzegła na niej wyraz bólu. A więc miał rację, ten chłopak to Lloyd. Jego krewny, może brat?

- Żyje - powiedziała cicho.

- Wiem. - W jego głosie brzmiała wściekłość. - Kazałem pani zostać na górze...

- Jestem lekarzem. - Gina nie patrzyła już na niego, lecz skupiła całą uwagę na chłopcu. Jeśli spadł na plecy...

- Lekarzem? - spytał ze zdumieniem.

- Tak - potwierdziła, chcąc dodać mu otuchy, choć stan chłopca nie budził optymizmu. - Nazywam się Gina Buchanan. Jechałam do mojego narzeczonego, który mieszka w Gundowring.

- Naprawdę? - W jego głosie zabrzmiało niedowierzenie. - I zatrzymała się pani w umówionym miejscu, żeby spotkać swoich przyjaciół na motocyklach?

Gina zignorowała zawartą w jego słowach agresję. Miała już nieraz do czynienia z krewnymi chorych, którzy pod wpływem szoku zachowywali się irracjonalnie. Oddarła kawałek swej bluzki.

- Co pani do diabła robi?

- On krwawi. - Zaczęła obmacywać chłopca i wyczuła palcami dziurę w jego spodniach, przez którą płynęła krew z rozerwanej arterii. - Ma silny krwotok z uda.

- Proszę go nie ruszać - ostrzegł podniesionym głosem, a Gina kiwnęła głową, zadowolona, że nieznajomy zna przynajmniej podstawowe zasady pierwszej pomocy.

- Nie chcę go ruszać. W karetce będą nosze, na których go unieruchomimy. Teraz założę mu opaskę uciskową, żeby nie tracił krwi. - Spojrzała na strzępek cienkiego materiału. - Będę potrzebowała pańskiej koszuli.

- Opaska uciskowa... - powtórzył wyraźnie oszołomiony. - Oczywiście - powiedział, opanowując się. Zdjął szybko koszulę i zaczął ją drzeć na kawałki.

Był potężnie zbudowany. Mimo szoku, mimo bólu nogi, mimo obaw o życie chłopca, Gina zwróciła uwagę na jego umięśniony i opalony tors.

Zawstydziała się swych myśli i skupiła się na tym, co miała zrobić. Wzięła podany jej kawałek materiału, ostrożnie wsunęła dłoń pod spodnie Lloyda i nie przesuwając go ani o centymetr, mocno nacisnęła udo powyżej rany.

- Ja to zrobię - zaproponował brodac z słabym głosem.

- Nie. - Gina potrząsnęła głową. Jest silniejszy, ale ona wie, gdzie należy naciskać. - Dam sobie radę.

Chłopak drgnął, jakby przeszedł go nagły dreszcz, po czym otworzył oczy.

- Nie próbuj się ruszać - powiedziała z przejęciem, a potem podniosła wzrok na brodacza. - Proszę go przytrzymać...

Nie musiała nic mówić. Trzymał już chłopca za ramiona, by uniemożliwić mu gwałtowne ruchy.

- Lloyd - powtarzał nerwowo - Lloyd...

- Struan... - Szept chłopca zdawał się dochodzić z daleka.

- Jestem przy tobie. Leż spokojnie, młody głupcze, a my spróbujemy ustalić, co ci jest.

- Była tam dziewczyna...

- I rycerz w lśniącej zbroi - dokończył brodacz z uśmiechem. - Ty zawsze musisz zaatakować smoka.

- Czy nic jej się nie stało? Czy oni...

- Jestem tutaj - oznajmiła drżącym głosem, przechylając głowę, żeby dostrzegł w świetle księżyca jej twarz. - Nic mi się nie stało. Dzięki tobie.

- Więc nie zgwałcili pani?

- Wystraszyłeś ich. Uciekli.

To właśnie chciał wiedzieć - że jego wysiłek nie poszedł na marne. Zamknął oczy i zacisnął usta. Wiedziała, że odczuwa dotkliwy ból.

- Mam w torbie morfinę - oznajmiła brodaczowi. - Czy może pan to otworzyć? - Miała zajęte ręce i nie mogła się ruszyć, dopóki nie dojadą sanitariusze z noszami. Postanowiła nauczyć swego pomocnika, jak się robi domięśniowy zastrzyk. Wiedziała, że nie będzie tak skuteczny jak dożylny, ale...

- W torbie? - Spojrzał na nią ze zdumieniem, a potem odwrócił głowę. - W torbie? - powtórzył, jakby były to słowa dziękczynnej modlitwy. Wyciągnął rękę, przysunął torbę do siebie i otworzył ją jednym ruchem.

Gina nie wierzyła własnym oczom. Torba miała wymyślny zamek, by nie mogły jej otworzyć osoby niepowołane, lecz ten mężczyzna najwyraźniej miał już do czynienia z takimi zamkami. Po dziesięciu sekundach trzymał w rękach ampułkę i strzykawkę.

Czyżby był narkomanem? Bóg raczy wiedzieć, pomyślała. Ale przynajmniej umie zrobić zastrzyk.

- Proszę mi pokazać tę ampułkę - poleciła. - Trzeba mu wstrzyknąć dziesięć miligramów.

- Dożylnie pięć.

- Przecież pan nie może... - Urwała. Mężczyzna znalazł w torbie tampon, zdjął skórzaną rękawicę z ręki chłopaka i błyskawicznie przetaił jego nadgarstek. - Co pan robi?

- A jak pani myśli? Pięć miligramów dożylnie i następne pięć po dziesięciu minutach, jeśli nie wystarczy. - Rozbił szklaną ampułkę i napełniał strzykawkę.

- Proszę mi pokazać tę ampułkę. - Czują się zupełnie bezradna. Nie mogła poruszyć rękami, a wiedziała, że jeśli ten człowiek popełni jakiś błąd... - W kieszeni torby jest latarka. Chcę zobaczyć tę ampułkę.

- Wiem, co robię, proszę się nie martwić. - Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Napełnił strzykawkę, przycisnął palcami rękę chłopca, znalazł żyłę i wbił igłę, zanim zdążyła zaprotestować. Nie miała już nic do powiedzenia.

- Czy jest pan pewien, że to była morfina? - spytała z przerażeniem w głosie.

- Trochę za późno o to pytać. - Brodacz schował strzykawkę do pojemnika i odłożył ją do torby. Potem wziął Lloyda za rękę.

- Morfina już jest w drodze, Lloyd. Sam wiesz, jak szybko działa. Za chwilę ból minie.

- Chciałbym... - Chłopiec urwał w połowie zdania i szeroko otworzył oczy. - Struan, straciłem czucie w nogach.

- Nic dziwnego. Spadłeś na plecy z wysokości dziesięciu czy piętnastu metrów. Takie uderzenie...

- Nie czuję nóg... - jęknął chłopak z przerażeniem, a Gina drgnęła nerwowo. Raz jeszcze spojrzała na półkę skalną, na którą spadł, i na jego zgięte plecy.

- Jest za wcześnie, żeby się bać - mówił Struan. - Sam dobrze wiesz, że uderzenie w plecy może spowodować czasową utratę czucia. Ale nie wolno ci się ruszać.

- Struan...

- Czy czujesz już działanie morfiny? - Struan najwyraźniej chciał odwrócić myśli chłopca od jego nóg i udało mu się to.

- Tak... Tak, czuję... - Lloyd mówił coraz słabszym głosem.

- Stracił mnóstwo krwi - wykrztusiła Gina. - Czy może pan nacisnąć w tym miejscu? - Chciała koniecznie uwolnić rękę i zbadać jego tętno, ale Struan widocznie pomyślał o tym wcześniej, bo chwycił chłopca za przegub.

- W porządku - powiedział bez przekonania.

- W torbie jest adrenalina... - zaczęła Gina i zdała sobie sprawę, że traktuje tego mężczyznę jak lekarza.

- Kroplówka z solą fizjologiczną?

- Czyżby pan był...? - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Lekarzem? Oczywiście. - Zaczął grzebać w jej torbie. - Gdzie jest ta kroplówka?

- Trzeba podnieść górną część torby. Jest tam pojemnik z kroplówką. - Poczula, że jej napięcie mija. Jest lekarzem, a więc niech przejmie odpowiedzialność. Powstrzymała już krwotok chłopca i może go oddać w ręce innego specjalisty. Pora pomyśleć o swojej nodze.

- Niech pani nie zwalnia ucisku, bo będziemy mieli kłopoty. - Szorstki głos Struana przypomniał jej o obowiązkach. Kiwnęła głową. Musiał zauważyć, że usiadła nieco wygodniej.

Jest lekarzem... Widziała, jak wprawnie przygotowuje kroplówkę. Nie mając stojaka, powiesił pojemnik na ramieniu.

Lekarz? Lekarz z taką brodą? Lekarz jeżdżący po okolicy na motocyklu marki Harley Davidson?

Lloyd stracił kontakt z otoczeniem. Pod wpływem morfiny i przeżytego szoku zapadł w błogosławioną nieświadomość.

- W moim samochodzie jest koc... - powiedziała. - Niech pan przyniesie, ja mam zajęte ręce.

- Nie. Jeśli odejdę, pani może stracić przytomność.

- Nie zemdleję - oznajmiła z godnością. - Nigdy nie mdleję.

- Ile razy w życiu znalazła się pani w takiej sytuacji? Raz... Tylko raz przeżyła noc, w ciągu której straciła kontrolę nad sytuacją. Wtedy też nie zemdląca. Siedziała samotnie przez wiele godzin i przysięgała sobie, że...

- Nie zemdleję - powtórzyła. - Obiecuję. Może pan iść. Nie musiał. Usłyszeli warkot silnika, a potem szum opon, dochodzący z platformy widokowej. Wycie syreny, ryk innych samochodów...

- Nadjeżdża kawaleria. - Struan uniósł bezwładną rękę Lloyda. - Przybyła pomoc. Trzymaj się, chłopie.

Ale mówił tylko do siebie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Z chwilą przybycia karetki Gina stała się zbędna. Sanitariusze szybko ustawili reflektory i zeszli na skalną półkę. Nadjechała również policja. Lloyd został wprawnie i ostrożnie położony na noszach. Czterej policjanci, dwaj sanitariusze i Struan przetransportowali go na górę. Jedni ciągnęli liny, a inni przytrzymywali nosze, żeby uniknąć szarpania.

Gina nie miała co robić. Usiadła pod ścianą i rozpamiętywała wypadki, jakie rozegrały się w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Nie była już potrzebna.

Drżała na całym ciele i było jej słabo, więc pochyliła głowę i oparła ją o kolana.

- Nigdy nie mdleję - powtarzała sobie z determinacją, ale wiedziała, że jest tego bliska. Kiedy mężczyźni z noszami ruszyli w górę, wstała. Wiedziała, że musi iść za nimi. Ból w nodze nasilał się. Zrobiła krok, potem drugi...

Reflektory oświetlały całe zbocze. Brodacz, który trzymał w rękę pojemnik z kroplówką, zerknął w stronę Giny i zauważył, że osuwa się na kolana. Zaklął, podał pojemnik jednemu z sanitariuszy i szybko zszedł na dół.

- Co pani jest, doktor Buchanan? - spytał, przyklękając obok niej.

Mówił teraz innym tonem. Miejsce gorączkowego lęku zajął profesjonalny spokój. Gina знаła ten ton. Używała go sama w stosunku do chorych i wystraszonych dzieci.

- Wszystko w porządku. - Uniosła ku niemu ściągniętą bólem twarz. - Niech pan się zajmie chłopcem.

- Lloyd jest w dobrych rękach. - Usłyszeli trzask zamykanych drzwi karetki i warkot zapalnego silnika. - Za chwilę będzie w szpitalu. Uprowadzą przez radio nasze ambulatorium.

- Czy... czy jest tam jakiś lekarz?

- Martin Wisehart ma akurat dyżur. Jest znakomitym ortopedą.

- Powinien pan z nim jechać.
- Mam nie tylko jednego pacjenta. - Pomógł jej usiąść. Potem, gdy nad krawędzią urwiska pojawiły się twarze policjantów, chcących poznać przyczynę zwłoki, zawołał: - Odeślijcie karetę i zjeźdźcie na dół. Musimy wnieść tę panią na górę.
- Wejść sama.
- Niech pani nie będzie niemądra. - Dotknął nogi i dostrzegł na twarzy Giny skurcz bólu. - Jak do diabła pani tu zeszła?
- Nie pamiętam - odparła zgodnie z prawdą, zdobywając się na uśmiech. - Może po prostu się stoczyłam.
- Wiedziałem, że ma pani rozciętą nogę, ale... - Oglądał ją w świetle latarki, którą podał mu jeden z policjantów. - Muszę rozerwać pani spodnie.
- Nie szkodzi. - Skrzywiła się z bólu. - Nie jest pan dziś pierwszym mężczyzną, który traktuje mnie brutalnie.
- Dzielna z pani kobieta. To dobrze, że potrafi pani jeszcze żartować. - Zsunął jej rozdarte dzinsy trochę niżej. Całe udo było jednym wielkim krwakiem. - Mój Boże...
- Wolałabym, żeby pan powiedział: „Czy to wszystko? Robi pani wiele hałasu o nic, pani Buchanan”.
- Czy to wszystko? - powtórzył, oglądając ranę. Kiedy podniósł wzrok, na jego twarzy nie było uśmiechu. - Co za drań!
- Chyba nie jest złamana - szepnęła. - Trochę sztywnieje, ale mogę nią ruszać.
- Tak... - Sięgnął po torbę Giny, nadal leżącą obok niej. - Nie zeszlaby pani na dół, gdyby była złamana w tym miejscu. Muszę zaaplikować środek znieczulający.
- Nie potrzebuję...
- Jeśli chce pani dostać posadę w tej okolicy, to proszę się nie odzywać.
- Posadę? - Gina znieruchomiała. Posadę? To byłaby jakaś perspektywa na przyszłość.
- Czy zamierza pani praktykować w Gundowring, czy też przyjechała pani tylko po to, żeby wyjść za mąż i rodzić dzieci?



- Mam nadzieję, że uda mi się pogodzić jedno z drugim.  
 - Mimo bólu zdobyła się na uśmiech.  
 - Słusznie. - Zerknął na nią z niepokojem, otwierając ampułkę z morfiną.

- Niech pan posłucha, ja naprawdę nie potrzebuję...

- Potrzebuje pani. Kto jest tym szczęśliwym wybrańcem?

- Wayne. Wayne Macky. Jest administratorem w szpitalu. Zastygł na chwilę w bezruchu, ale szybko się opanował.

- Wayne... Proszę, proszę. Nie sądziłem, że jest aż tak atrakcyjnym chłopcem.

- On nie jest chłopcem.

- Istotnie, chyba nie - przyznał z przewrotnym błyskiem w oczach. Gina czuła, że Struan teraz przywołuje w wyobraźni obraz Wayne'a, który ma trzydzieści sześć lat, zaczyna łysieć i za dużo waży. Doszła do wniosku, że musi go dobrze znać. Wayne był głównym administratorem szpitala, w którym ten człowiek najwyraźniej pracował.

- Więc gdzie pani poznała naszego Wayne'a? - Przemył tamponem jej rękę, po czym wbił igłę. Ból był niewielki, lecz mimowolnie drgnęła. Brodacz wyjął igłę i chwycił Ginę za ramiona.

- Trzymaj się, mała. Pomoc jest w drodze. Czy była pani już w Gundowring?

Usiłował zagadać ją, by nie myślała o bólu, dopóki morfina nie zacznie działać. Tak samo postępował z Lloydem.

- Nie, nigdy. Ale poznałam Wayne'a, kiedy byłam dzieckiem.

- Miała wrażenie, że mówi zmienionym głosem.

- Ma pani szczęście.

- Owszem, mam szczęście - oznajmiła stanowczo, jakby wyczuwając w jego głosie ironię.

- Nie wątpię w to - dodał z uśmiechem, nadal trzymając ją za ramiona. - I zaczynam podejrzewać, że Wayne też ma szczęście.

W kilka sekund później przykucnął obok nich policjant.

- Czy mamy wezwać drugą karetkę, panie doktorze? - spytał, orientując się w sytuacji.

- Nie. Jeśli uda nam się ją wnieść na górę, może jechać na tylnym siedzeniu samochodu.

- Mogę wejść sama.

- Jeśli potrafi pani latać. - Uśmiechnął się tak ujmująco, że poczuła skurcz w sercu. Potem uniósł kolejno jej ręce, nie spuszczać oczu z twarzy. - Nie boli? Nie chcę pani podnosić, jeśli ma pani wybity bark.

- Nie, ręce mnie nie bolą - odparła nieswoim głosem.

- Chwała Bogu - mruknął potężnie zbudowany policjant i na znak lekarza podszedł do Giny z drugiej strony. Podsunęli splecione dłonie pod jej plecy u podstawy kręgosłupa i wstali równocześnie, unosząc ją w górę. Zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z fachowcami. Z dwoma potężnie zbudowanymi mężczyznami, którzy brali już udział w tego rodzaju akcjach. Poczuła się bezradna, ale równocześnie otoczona czułą opieką. Było to nowe i nawet przyjemne uczucie.

- Mam dosyć ciężki pakunek - rzekł brodac z uśmiechem, po czym wskazał wzrokiem jej torbę innemu policjantowi. - Czy może pan to zabrać?

- Jasne. Idziemy tuż za wami. - Powoli i ostrożnie wspinali się po stromej ścieżce. - Spróbujemy odnaleźć naszego przyjaciela...

- Miał na imię Mick - wykrztusiła Gina.

- Wiemy, jak się nazywa - oznajmił policjant. - Michael Gray Carter. Sprawdziliśmy przez radio rejestrację jego motocykla. Był wielokrotnie notowany w aktach policyjnych. Dziś wieczorem wygnaliśmy całą jego bandę z parkingu. Mniej więcej przed dwiema godzinami odstawiliśmy ich pod eskortą aż do granic miasta, ale, jak widać, to nie wystarczyło. Złapiemy go. Górę porastają niskie krzewy, więc bez motocykla nie ucieknie daleko. Musimy tylko zacząć się i poczekać, aż sam

wpadnie nam w ręce. A my potrafimy cierpliwie czekać - zakończył z szerokim uśmiechem.

Gina nie odpowiedziała. Morfina zaczęła już działać i ból w nodze złagodniał. Co prawda dawał o sobie znać przy każdym wstrząsie, ale był bardziej znośny...

W końcu dotarli na szczyt i położyli Ginę na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu. Był to największy i najwygodniejszy ze stojących na wzgórzu pojazdów.

- Pożyczę wasz samochód i odwiozę ją do szpitala - powiedział brodac. Nie usłyszała nic więcej: leżąc wygodnie na skórzanym fotelu, zapadła w półsen. - Czy możecie zająć się samochodem doktor Buchanan i moim motocyklem?

- Oczywiście. - Policjant zmarszczył brwi. - Więc ona też jest doktorem?

- Tak. Wygląda na to, że mamy nowego lekarza. Nastąpiła chwila ciszy. Policjant wykrzywił usta w uśmiechu.

- Co za zbieg okoliczności - mruknął. - Jednego zrzucano nam ze skały, ale znaleźliśmy drugiego!

Gina obudziła się w szpitalnym łóżku. Pamiętała tylko pojedyncze fragmenty wydarzeń. Skupioną twarz brodacza, jasne światło nad wejściem do ambulatorium, rozbierające ją pielęgniarki i lekarzy komentujących stan jej nogi.

Pamiętała też, że w pewnej chwili pojawił się tam Wayne: z troską pochylał się nad łóżkiem i obiecywał jej oddzielny pokój. Policjant zadawał jej jakieś pytania, a ona usiłowała się skupić. Potem brodacz oznajmił, że wszyscy mają wynieść się do wszystkich diabłów, że dość już przeszła i że zaaplikuje jej środek nasenny.

Teraz był już poranek. Słońce wdzierало się przez okno, rzucając złociste światło na białe ściany. Poruszyła głowę, by wyrzeć na dwór i poczuła ból w szyi, ale dostrzegła w oddali lśniącą powierzchnię morza.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzała pielęgniarka.

- Och, już pani nie śpi - powiedziała z uśmiechem. - To świetnie. Jak się pani czuje? Czy podać śniadanie?

- Sama nie wiem - odparła po chwili namysłu. Ból w szyi był już mniej dotkliwy. Jeśli będzie leżeć bez ruchu...

Drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł brodac. Wyglądał zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Nie jak motocyklista utrzymujący, że jest lekarzem, lecz rzeczywiście jak przedstawiciel tej profesji. Miał na sobie eleganckie spodnie, sportową koszulę i biały kitel, z którego kieszeni zwisał stetoskop. Czarne włosy były schludnie uczesane, a jedynym podkreślającym jego fantazję elementem była czarna broda. Jego oczy błyszczały radośnie.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się do niej, budząc to samo dziwne uczucie, jakiego doznała poprzedniego dnia. Miała wrażenie, że jej serce zaczyna bić trochę nierówno.

- Dzień dobry.

- A więc postanowiła pani żyć dalej? - spytał, podchodząc do łóżka i zaglądając do karty informacyjnej.

- Przecież nie groziłam, że umrę.

- To prawda. - Znów się uśmiechnął. - Ale gdybym pozwolił pani postawić na swoim, wykrwawiłaby się pani na śmierć pod szczytem tej góry. Nie znoszę upartych kobiet.

- Nie straciłam aż tak dużo krwi.

- Wystarczająco dużo. Musieliśmy założyć pani piętnaście szwów.

- Piętnaście... - Uniosła kołdrę, by obejrzeć nogę, ale znów poczuła ból w szyi i skrzywiła się. Dostrzegł to i lekko dotknął jej twarzy.

- Podamy pani lusterko. Siostró, proszę... Pielęgniarka kiwnęła głową i wyszła, on zaś przysiadł na skraju łóżka i spojrzął na Ginę.

- No cóż - powiedział z uśmiechem. - Wczoraj nie przedstawiliśmy się sobie oficjalnie. Jestem Struan Maitland. A pani, jak sądzę, nazywa się Gina Buchanan?

- Owszem. - Przestała nazywać go w myślach brodaczem. Nadany mu przez nią przydomek zniknął wraz ze skórzanym kombinezonem. Struan... Zaczerwieniła się i znów zajrzała pod kołdrę.

- Nic pani nie zobaczy bez lusterka, ale nie ma trwałych uszkodzeń. Noga była paskudnie rozcięta i nastąpił duży wylew. Zatrzymam panią w łóżku przez kilka dni, dopóki objawy nie ustąpią, bo nie chcę ryzykować skrzepu. Jeśli pani się zgodzi, sprowadzę później lokalnego przedstawiciela prawa.

- Doprawdy? Może jeszcze ławę przysięgłych? Dwunastu uczciwych ludzi, którzy będą zaglądać pod moją szpitalną koszulę?

- Ależ skąd! - odparł z uśmiechem. - Naszym przedstawicielem prawa jest Janet Leith. Polubi ją pani, a ja zapewniam, że nie sprawi pani kłopotu. Najwyżej zechce zrobić zdjęcie.

- Och, proszę bardzo...

- Czyżby uważała pani, że naruszamy pani prywatność?

- A jak pan czułby się na moim miejscu?

- Tak samo. - Spoważniał i ponownie dotknął palcami jej twarzy. - Tak samo, Gina. Przed południem przyjdzie policjant, żeby wypytać o przebieg wydarzeń.

- Czy on też będzie chciał obejrzeć ranę?

- Obiecuję, że mu na to nie pozwolę. - Zmarszczył brwi i spojrzał na jej posiniaczoną twarz. - Choć i tak sporo zobaczy. On naprawdę zrobił ci krzywdę.

- A jak się czuje Lloyd?

- Wysłaliśmy go dziś rano samolotem do Melbourne. Ma złamany kręgosłup.

- Złamany... - Gina poczuła, że jej ukryte pod kołdrą dłonie zaciskają się w pięści. - Jaki jest jego stan?

- Jeszcze za wcześnie, żeby go precyzyjnie określić. Stracił czucie poniżej złamania. Za chwilę będzie lądował w

Melbourne. Polecił z nim Martin Wisehart, nasz chirurg ortopeda. Skontaktuje się ze mną, gdy tylko będzie coś wiedział.

- Powiedz mi, kim jest Lloyd - poprosiła szeptem. - Widziałam, jak przejmujesz się jego stanem.

- Lloyd Neale jest naszym stażystą.

- Stażystą? A więc lekarzem?

- Owszem - odparł. - Odbywa drugi rok stażu i jest najlepszym adeptem medycyny w dziejach tego szpitala. Będzie kiedyś znakomitym lekarzem, jeżeli los na to pozwoli.

- Wydawał mi się bardzo młody.

- Pewnie dlatego, że był śmiertelnie przerażony. Ty sama wyglądałaś wczoraj na jakieś szesnaście lat, choć jak się domyślam, musisz być trochę starsza.

- Mam dwadzieścia osiem.

- Dwadzieścia osiem... A więc nie jesteś świeżo upieczoną absolwentką medycyny? - spytał ze zdziwieniem.

- Nie.

- Co więc robiła doktor Buchanan w ciągu ostatnich kilku lat poza szukaniem odpowiedniego mężczyzny?

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich błysk ironii. Czyżby nie uważał Wayne'a za odpowiedniego mężczyznę?

- Robiłam specjalizację z pediatrii.

- I zrobiłaś ją?

- Owszem.

Wstał, podszedł do okna, włożył ręce do kieszeni białego kitla i spojrzał na odległy ocean.

- Powinnaś była nas przedzić o swoim przyjeździe.

- Po co? - Poczula senność, wywołaną przez lekarstwa. - Postanowiłam wyjść za Wayne'a i zamieszkać tutaj. Jeśli nie dostanę posady w szpitalu, otworzę prywatną praktykę. Jeśli nie, to sama urodzę kilkoro dzieci - dodała z uśmiechem.

- Dzieci Wayne'a...

- Oczywiście. - Uświadomiła sobie, że Wayne nie odgrywał ważnej roli w jej planach. Był po prostu bazą do dalszego działania, gwarantem stabilności.

- Brakuje nam teraz jednego lekarza.

- Z powodu wypadku Lloyda. - Drgnęła nerwowo. - Nie obejmę jego posady.

- Przecież jesteś mu to winna.

- Co masz na myśli? - spytała, otwierając szeroko oczy.

- To, że Lloyd będzie niezdolny do pracy co najmniej przez dwa miesiące. Wiesz dobrze, że tak poważne obrażenia wymagają długiej rekonwalescencji. Nie wiadomo zresztą, czy kiedykolwiek w pełni odzyska zdrowie.

- A więc?

- A więc musimy przyjąć kogoś na jego miejsce. Nie możemy zarezerwować dla niego tej posady. Dziś rano twój ukochany administrator dał nam to wyraźnie do zrozumienia. Jeśli przyjmiemy kogoś na stałe, Lloyd będzie wysłany gdzie indziej, kiedy... jeśli wyzdrowieje. A chcemy, żeby został u nas, więc proponuję, żebyś zajęła jego miejsce. Zobaczymy, jak pracujesz, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, rozszerzymy skład naszego personelu o pediatrę.

- Mam zostać stażystką...

- Nie będziemy cię traktowali jak stażystkę. Damy ci tyle swobody, ile zechcesz, ale twoja pensja nie będzie współmierna do kwalifikacji.

Gina wiedziała, że Wayne nie będzie tym zachwycony. Struan najwyraźniej czytał w jej myślach.

- Twój Wayne z pewnością nie zaproponuje, żebyśmy płacili ci tyle, ile powinien otrzymywać wykwalifikowany pediatra - powiedział. - Za bardzo mu zależy na obniżce kosztów.

Gina zmrużyła oczy. Czyżby to była złośliwość pod adresem Wayne'a?

- Nie lubisz go, prawda? - spytała wprost.

- Twojego narzeczonego? Nie, nie lubię go. - Skrzywił się lekko, ale jego twarz niemal natychmiast rozjaśnił uśmiech. - Ale to nie ja obiecałem za niego wyjść. Każdy jest kowalem własnego losu. - Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pielęgniarka. - Oto lusterko. Obejrzyj obrażenia.

Noga wyglądała okropnie. Widząc siną plamę, przez której środek przebiegało głębokie rozcięcie, Gina poczuła mdłości. Brodac... Struan... zszyl ją bardzo fachowo, ale wiedziała, że blizna pozostanie do końca życia.

- Będziesz musiała oszczędzać tę nogę - oznajmił. - Jej forsowanie w tym stanie byłoby niebezpieczne. Masz naderwane ścięgna. Przez jakiś tydzień będziesz chodzić o kulach.

- Wspaniale.

- Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Przepraszam. - Potrząsnęła głową. - Jeszcze ci nie podziękowałam. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna. Ty i Lloyd uratowaliście mi życie.

- Sama się do tego przyczyniłaś. Gdybyś nie zabiła tego psa...

Gina skrzywiła się i zasłoniła oczy dłonią. Pod wpływem makabrycznego wspomnienia poczuła się jeszcze gorzej.

- Nie miałaś wyboru - powiedział łagodnie, dostrzegając jej napięcie. - Inaczej on zabiłby mnie.

- Tylko dlatego, że został tak wyszkolony.

- Wiem. Ale wyszkolone psy obronne... Musiałaś zrobić to, co zrobiłaś. - Wstał. - Domyślam się, że miałaś kiedyś psa?

- Kiedyś... - Sięgnęła pamięcią wstecz. - Dawno temu.

- Może powinnaś pomyśleć o następnym? Na drugie zimowe wieczory, kiedy Wayne będzie zajęty grą w szachy.

- W szachy?

- Jest mistrzem. Sądziłem, że o tym wiesz. Gra trzy wieczory w tygodniu, choć teraz, kiedy już przyjechałaś, pewnie z tego zrezygnuje. - Wyjrzał na korytarz. - Ale o wilku mowa... -



Rzucił jej spojrzenie, w którym było sporo współczucia, i wyszedł.

Dzień był ciepły, ale Wayne miał na sobie swój strój roboczy: elegancki, granatowy, trzyczęściowy garnitur i jasnoniebieski jedwabny krawat. Pocałował Ginę w czoło, uważając, by nie dotknąć jej obandażowanego oka.

- Gino, kochanie...

Odprężyła się. Znała Wayne'a od dziecka. Ich matki były przyjaciółkami, a Wayne, osiem lat starszy od Giny, pozostał z nią w kontakcie. Regularnie, raz w miesiącu, składał jej wizytę. To był jedyny stały element w jej życiu, które upływało w kolejnych rodzinach zastępczych. Wayne skrupulatnie wypełniał swe zobowiązania, a ona nigdy nie czuła się zapomniana. Po jakimś czasie zaczęła z utęsknieniem oczekiwać jego wizyt.

- Wystraszyłaś mnie na śmierć.

Nie wyglądał na człowieka, którego życie byłoby zagrożone. Był wyraźnie zadowolony z siebie i z przebiegu swej kariery.

- Przykro mi, że przeżyłeś taki szok.

- Ty przeżyłaś gorszy. - Uśmiechnął się do niej czule. - Choć muszę ci powiedzieć, że zjeżdżanie po zmroku z głównej drogi było szaleństwem. Zwłaszcza że roi się tu od tych motocyklistów.

- Skąd mogłam o tym wiedzieć?

- Co rok odbywają tu spotkanie. Wielki zjazd. Dochodzi do wielu bójek i wypadków, więc szpital zarabia na tym mnóstwo pieniędzy.

- To wspaniale - szepnęła.

- Niektórzy motocykliści nie są złymi ludźmi - przyznał

Wayne jakby z niechęcią. - Na przykład Maitland i Neale. Obaj jeżdżą na harleyach i noszą skórzane kombinezony. I sama zobacz, jak się skończyło.

- Oni uratowali mi życie.

- Gdybyśmy zakazali organizowania tego zjazdu, nie musieliby tego robić. Moim zdaniem motocykliści nie powinni mieć prawa wstępu do miasta.

- Na motocyklach jeździ wielu porządnych ludzi, a agresywnych łobuzów spotyka się również za kierownicą samochodów.

Wayne uniósł brwi i choć nie skomentował jej wypowiedzi, wiedziała, że uważa ją za naiwną.

- To przyczynia się do wzrostu agresji... - Uśmiechnął się.

- Czy doktor Maitland zaproponował ci posadę?

- Tak.

- No cóż, gdyby nie doszło do tego... Nie sądzę, żeby nasza sytuacja usprawiedliwiała zatrudnienie kolejnego lekarza, ale ponieważ Lloyd jest nieobecny, będziesz im potrzebna. A jeśli okaże się, że jego paraliż jest trwały...

- Wayne... - Mimo bólu dźwignęła się do pozycji siedzącej.

- Lloyd uratował mi życie. Został ranny, bo usiłował mnie bronić. Jak możesz być zadowolony z jego nieobecności?

- Nie jestem zadowolony. Mówię tylko, że dzięki temu będzie nam łatwiej. Dwie pensje... Znalazłem na wzgórzu ładny domek. Chciałbym, żebyś go jak najszybciej obejrzała.

Gina opadła na poduszki. Jej złość minęła. Doszła do wniosku, że może wszystko ułożyć się pomyślnie.

- Zaraz przyjdą do ciebie policjanci - oznajmił wstając. - Nie mogę zostać dłużej. Chyba... chyba zachowałeś wobec nich stosowny dystans, prawda? Chodzi mi o to... żebyś rozmawiała z nimi w sposób rozważny.

- Rozważny?

- No wiesz... - Spojrzał jej w oczy i zdobył się na protekcyjny, a zarazem zaborczy uśmiech. - Jesteś bardzo ładną kobietą. Wszyscy pracownicy szpitala od rana mi to powtarzają. Nie powinnaś ich ośmielać.

- Zachowałam wobec nich stosowny dystans - powiedziała i zagryzła wargi. - Wayne, idź już. Chcę zasnąć.

Ale w szpitalu panował zbyt wielki ruch, by mogła spać. Zaraz po wyjściu Wayne'a przyniesiono śniadanie, a ona ze zdziwieniem odkryła, że jest bardzo głodna. Zjadła płatki kukurydziane, dwa jajka na szynce i trzy grzanki. Kiedy dopijała resztki kawy, zjawili się policjanci. Sierżant, który pomagał ją nieść poprzedniego dnia, i młody szeregowy.

Wbrew sugestiom Wayne'a nie próbowali jej obarczyć odpowiedzialnością za to, co się stało. Ich pytania były krótkie i rzeczowe.

- Już go mamy - oznajmił w końcu sierżant i schował notes.

- Micka?

- Spędził bardzo nieprzyjemną noc. W końcu wyszedł na polankę u podnóża góry i tam go złapaliśmy. Pokaleczył się o drut kolczasty, kiedy próbował uciec. Doktor Maitland właśnie go zszywa.

- Już skończyłem - oznajmił Struan, wchodząc do izolatki. - Jest gotowy, chłopcy. Zabierzcie go sobie i znajdźcie dla niego małą, niewygodną celę. Chciałbym, żeby panował w niej przeciąg.

- Przykro nam, że musieliśmy go tu przywieźć - sumitował się policjant. - Po tym, co zrobił...

- Nic nie szkodzi. Zrobiłem to bardzo chętnie - oświadczył z uśmiechem Struan. - Oczywiście dałem mu miejscowe znieczulenie, bo inaczej mógłbym odpowiadać przed izbą lekarską. Ale pielęgniarka, która ma dziś dyżur, jest praktykantką; jeszcze nie robiła zastrzyku. Musiała kiedyś zacząć...

Do izolatki weszła pielęgniarka. Była wyraźnie rozbawiona.

- Doktor kazał Annie znieczulić pacjenta - oznajmiła z chichotem. - Była przerażona, a w dodatku ten człowiek zaczął ją obsypywać wyzwickami. Trzęsły jej się ręce, a po operacji doktor Maitland doszedł do wniosku, że powinniśmy dać mu immuno-globulinę, środek przeciwtężcowy i oczywiście dwa miliony jednostek penicyliny, na wypadek zakażenia.

- Trzeba zachować wszystkie środki ostrożności - dodał Struan poważnie. - Nie chciałbym, żeby ktoś mnie oskarżył o zaniedbanie obowiązków i pominięcie niezbędnego zastrzyku. Annie starała się jak mogła, ale pacjent i tak czuje się dość podle. Na waszym miejscu podawałbym mu dziś wyłącznie płyny.

- Jak pan sobie życzy, doktorze - odparł policjant z uśmiechem. - Z przyjemnością wykonamy pańskie polecenia.

Obaj wyszli, zabierając z sobą pielęgniarkę, która wyraźnie chciała jak najszybciej pozbyć się odrażającego Micka ze swego czystego szpitala. Gina i Struan zostali sami.

- To było sprzeczne z etyką lekarską - wykrztusiła Gina.

- Ależ skąd, pani doktor - odparł Struan, kręcąc głową. - Poza tym jestem teraz pani szefem. Musi pani podzielać mój punkt widzenia. - Podszedł do łóżka i podciągnął jej kołdrę pod samą brodę. Dotknął przy tym lekko palcami jej ramion, a ona poczuła dreszcz.

- Czy jest ci zimno? - spytał troskliwie.

- Nnn... nie.

- Więc proponuję zasnąć. Im więcej będziesz wypoczywać, tym szybciej wrócisz do formy i podejmiesz pracę. A ja muszę przyznać, że niecierpliwie na to czekam.

- Nie musisz mnie przyjmować do pracy - rzekła. - Nie chcę, żeby ktokolwiek się nade mną litował.

- Wcale się nad tobą nie lituję. Zachowałeś spokój w sytuacji, w której większość ludzi wpałaby w histerię. Byłaś poważnie ranna, ale miałaś tyle przytomności umysłu, żeby zająć się Lloydem. Niezależnie od tego, jak bardzo jesteś nam wdzięczna, trzeba przyznać, że obaj ocaleliśmy dzięki twojemu opanowaniu.

Zabiłaś psa i nie pozwoliłaś Lloydowi wykrwawić się na śmierć. Potrzebuję takich lekarzy, doktor Buchanan.

- Ja... - Nie mogła znaleźć właściwych słów. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś jak najszybciej wyzdrowieć. Zalecanie się do pacjentek stanowi naruszenie etyki lekarskiej, a ty jesteś bardzo piękną kobietą. Dość tego - dodał cicho. - Śpij i wracaj do zdrowia. A potem... Potem czcigodny Wayne może odkryć, że choć raz w swym czcigodnym życiu trafił na groźnego rywala.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Struan nie odwiedzał jej przez jakiś czas, a Gina była z tego zadowolona. Lecz gdy ktokolwiek wymawiał jego imię, wpadała niemal w panikę.

- Ma dziś wolny dzień - oznajmiły jej pielęgniarki w sobotę po południu. - Poleciał do Melbourne, żeby odwiedzić Lloyda, i zostanie tam na noc.

Informacje napływające z Melbourne były niejasne. Paraliż nie ustępował, ale Lloyd częściowo odzyskał czucie, więc może...

Gina przez cały czas niepokoiła się o jego los. Myśl o tym, że mógłby zostać kaleką, ponieważ jej bronił, była dla niej ogromnym ciężarem.

- To nie twoja wina - powtarzał jej Wayne. - Zbliżając się do tych motocyklistów, postąpił jak głupiec.

- Wybrał się na przejażdżkę, żeby popatrzeć ze szczytu góry na morze - tłumaczyła mu Gina. - A kiedy zobaczył, co się dzieje, wystąpił w mojej obronie. Gdyby nie on...

- Po co jeździ na tym motocyklu? - spytał Wayne oskarżycielskim tonem.

- Och, Wayne...

Opadła na poduszki, chcąc zapomnieć o tym, co wydarzyło się w piątkowy wieczór. Miała tak wiele do przemyślenia...

W niedzielę po południu lekarka będąca na dyżurze pozwoliła jej wstać. Doktor Lesley Marne, szczupła i wysoka kobieta w wieku pięćdziesięciu lat, miała bystre, szare oczy. Obejrzała dokładnie nogę Giny i kiwnęła głową.

- Jeśli pozwolimy ci leżeć dłużej, nastąpi zanik mięśni. Zaczynaj powoli poruszać się o kulach.

Towarzyszyła jej w pierwszym spacerze po szpitalu, pokazując z wyraźną dumą różne zestawy aparatury.

- W miasteczku jest pięciu lekarzy - opowiadała po drodze. - Wszyscy pracujemy w szpitalu i mamy praktykę prywatną.

Oczywiście z wyjątkiem Lloyda. Dwoje spośród nas dyżuruje zawsze przy telefonie.

- To chyba dość ryzykowne. - Gina mieszkała dotąd w dużych miastach i miała do czynienia ze szpitalami, w których zawsze obecny był komplet specjalistów.

- Większość szpitali prywatnych nie ma nawet dyżurnego stażysty - oznajmiła Lesley. - Struan stoczył walkę o zatrudnienie Lloyda, właśnie dlatego...

- Właśnie dlatego chce, żebym jak najszybciej go zastąpiła?

- To prawda. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Nie - przyznała szczerze Gina. - Pomogę Lloydowi, a przy okazji poznam szpital i jego pracowników, zanim rozpocznę praktykę prywatną.

- Nawet wtedy będziesz musiała dyżurować od czasu do czasu w szpitalu - oznajmiła Lesley z uśmiechem. - Nie masz wyboru. Jeśli zechcesz kierować pacjentów do tego szpitala, musisz być członkiem zespołu. W przeciwnym razie będziesz skazana na odsyłanie ich do miasta, czego nigdy ci nie wybaczą.

Otworzyła drzwi oddziału chorób dziecięcych. Przy łóżku jednego z małych pacjentów siedział Struan.

- Nie wiedziałam, że już wróciłeś! - zawołała Lesley.

- Przyjechałem dziesięć minut temu. - Uśmiechał się, ale był wyraźnie zmęczony. Musiał mieć ciężki weekend. Odwrócił się i ujął dziecko za rękę. - I od razu przyszedłem z wizytą do mojej ulubionej pacjentki.

Szczupła dziewczynka leżała bezwładnie na łóżku. Miała nie naturalnie rozszerzone, bardzo podkrążone oczy. Gina wyczuła, że dziecko jest ciężko chore.

- Niepotrzebnie się niepokoiłeś. Lisa była pod dobrą opieką. - Lesley uśmiechnęła się do dziewczynki. - Powiedz doktorowi Maitlandowi, że wykonywaliśmy jego polecenia.

Lisa nie odezwała się. Uniosła oczy, ale jej wzrok był pozbawiony wyrazu.

- To jest doktor Buchanan, choć nie wygląda na doktora, prawda? - powiedział Struan, uśmiechając się do Giny. Zdała sobie sprawę, że ma na sobie szpitalny szlafrok i chodzi o kulach, więc istotnie nie przypomina z wyglądu lekarza. - Miała drobny wypadek - dodał.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Nie wiadomo było, czy ich słyszy. W jej niebieskich oczach malowała się pustka.

- Lisa zaczęła jeść - powiedziała Lesley do Struana i westchnęła. - Przynajmniej tę przeszkodę mamy za sobą.

- Do widzenia, Lisa... - Struan wstał. - To dobra wiadomość. Widzę, że siostra niesie właśnie pyszne kiełbaski.

Lisa nie poruszyła się. Pielęgniarka uniosła ją do pozycji siedzącej i zaczęła karmić. Dziewczynka otwierała usta, ale nie reagowała na żadne bodźce. Była najwyraźniej w stanie szoku.

Gina podeszła do łóżka i zerknęła na kartę choroby. W ciągu ostatnich trzech dni nie stwierdzono skoków temperatury ani ciśnienia krwi.

Wyszli na korytarz. Struan otworzył drzwi i czekał cierpliwie, dopóki Gina przez nie nie przeszła.

- Widzę z radością, że zaczęła pani chodzić, doktor Buchanan - powiedział.

- Dopiero przed chwilą wstałam - odparła z uśmiechem.

- Czy udało wam się nakłonić Lisę do chodzenia? - spytał Struan.

- Nie - odparła Lesley, potrząsając głową. - Próbowaliśmy wczoraj i dziś. Stale się przewraca. - Westchnęła. - Jeśli nic się nie zmieni w ciągu najbliższych dwóch dni, chyba będziemy musieli wysiać ją do Melbourne.

- Co jej jest? - spytała Gina.

- Matka Lisy była niezamężna - odparł Struan. - W ubiegłym tygodniu popełniła samobójstwo, a mała... była przy niej przez dwa dni, zanim ją znaleźiono.

Gina poczuła przypływ lęku, nad którym panowała od dwudziestu lat. Wymazała z pamięci dzień śmierci swej matki,



ale teraz wszystko powróciło. Przewrzenie... a potem stoicki spokój, z jakim czekała, aż ktoś ją znajdzie. Ona czekała tylko do rana. A Lisa przez dwa długie dni...

Struan zauważył, że zbladła, i podszedł bliżej.

- Doktor Buchanan... - Chwył ją za ręce, w jego ciemnych oczach odbiła się troska. - Czy nic pani nie jest?

- Gina wstała dziś po raz pierwszy - wyjaśniła Lesley z niepokojem. - Może to dla niej zbyt duży wysiłek.

- Więc wracaj do łóżka. - Nie czekając na odpowiedź, wziął ją na ręce i ruszył szybko korytarzem w kierunku jej pokoju.

- Proszę... proszę mnie puścić.

- Nie ma mowy. - Pchnął nogą drzwi i spojrzał na nią z rozbawieniem. - Pozwól się nosić na rękach. Musisz się do tego przyzwyczaić.

- Dlaczego?

- Przecież zamierzasz wyjść za Wayne'a, prawda? - W jego oczach pojawił się przekorny błysk. - Z pewnością będzie cię nosił na rękach aż do znużenia. Chyba żeby kolidowało to z jego ambicjami w dziedzinie szachów. - Spojrzał na nią uważnie i zmarszczył czoło. - Jesteś blada jak ściana. Czy to wyczerpanie, czy może tak bardzo przejęłaś się tą małą?

- Ona jest w złym stanie - powiedziała.

- To prawda. W fatalnym. Powinniśmy skierować ją na oddział psychiatryczny szpitala dziecięcego, ale...

- Ale co?

- Jedynym żyjącym członkiem rodziny jest siostra jej matki, Sandra. Przychodzi tu codziennie i spędza u Lisy pięć minut. Można to nazwać krótką wizytą, ale przychodzi. Jeśli ją przeniesiemy, nie będzie miała nawet tego, a ciocia Sandra całkowicie umyje ręce od spraw swojej siostrzenicy. Co z oczu, to i z myśli. Trzeba będzie oddać ją do domu dziecka lub umieścić w rodzinie zastępczej.

- Może lepiej do adopcji?

- Może. Ale zanim znajdą jej ojca i załatwią wszystkie formalności, będzie miała kilkanaście lat. Do tej pory będzie musiała przebywać w sierocińcu, a tego wolałbym uniknąć. Gdyby udało mi się wzbudzić w tej ciotce uczucia rodzinne...

- Nie można wzbudzić czegoś, co nie istnieje.

- Wiem, ale jeśli ją teraz przeniesiemy, nie będzie miała żadnych szans.

Gina milczała. Widziała przed sobą smutną twarz Lisy. Ona sama była wtedy trochę starsza...

- Nie odzywa się, odkąd została znaleziona. - Struan spojrzął na Ginę i zmrużył oczy, jakby zastanawiając się nad czymś. - Nie ma żadnego postępu, ale teraz mamy w szpitalu pediatrę. Może.

- Nie jestem psychiatrą.

- Nie, ale jesteś osobą wrażliwą. To wystarczy.

- A jak się czuje Lloyd?

Lesley, która weszła do pokoju w ślad za nimi, ustawiała kule Giny pod ścianą, ale uważnie słuchała ich rozmowy.

- Lepiej niż oczekiwałem. - Twarz Struana rozjaśniła się na chwilę. - Odzyskał czucie w nogach. Oczywiście jest unieruchomiony i leży na wyciągu. Dopiero za jakieś sześć tygodni, kiedy zejdzie opuchlizna, będziemy znali rozmiary jego obrażeń, ale wygląda na to, że odzyska zdolność poruszania się, przynajmniej częściowo. A co z tobą? - Uśmiechnął się do Giny i spojrzął na Lesley. - Co zrobimy z tą pacjentką?

- Gdyby była na moim oddziale, chyba puściłabym ją do domu - odparła Lesley. - Gdyby miała jakiś dom. Czy masz zamiar wprowadzić się do Wayne'a?

- Broń Boże. - Struan nie dał jej szansy udzielenia odpowiedzi. - To małe miasteczko, a mieszkańcy małych miasteczek są moralistami. Nie chcesz chyba ich gorszyć, prawda?

Gina zmarszczyła brwi. Wiedziała, że Wayne wynajął domek niedaleko szpitala i że ma pokój gościnny, więc chyba...

- Jeśli ma być stażystką, powinna mieszkać na terenie szpitala  
- oznajmiła Lesley po namyśle. - Zwłaszcza że nasze służbowe mieszkanie jest wolne.

- Jestem tego samego zdania.

- Nie wprowadzę się do mieszkania Lloyda - oznajmiła Gina stanowczo. Była coraz mniej zachwycona tym, że wszystko rozgrywa się bez jej udziału.

- Nie proponujemy ci tego - odparła Lesley ze śmiechem. - Aparatura muzyczna Lloyda zajmuje cały pokój i połowę drugiego. Ledwie zmieścił tam łóżko. Ale mamy drugie mieszkanie, które było przeznaczone dla pielęgniarek, zanim zrobiły się tak cholernie niezależne.

- Będę musiała porozmawiać z Wayne'em - uznała Gina, zagryzając wargi. Myśl o własnym, niekrepującym mieszkaniu wydała jej się bardzo kusząca.

- Nie masz wielkiego wyboru - powiedział Struan - jeśli chcesz dostać tę posadę. Czy zgodzisz się ją objąć?

Westchnęła i kiwnęła głową. Miała wrażenie, że ostatnio nic w jej życiu nie zależy od niej.

- Więc dobrze - oznajmił rzeczowo Struan. - Przeniesiemy cię jutro rano.

- Wayne może to zrobić.

- Ach tak, oczywiście - potwierdził Struan z kamienną twarzą.

- Zapomniałem o istnieniu Wayne'a.

Kiedy wyszli, Gina położyła się wygodnie i usiłowała skupić myśli. Czuła się całkowicie zdominowana. Struan Maitland poruszał się po szpitalu jak walec drogowy, zmiatając z drogi wszystkie przeszkody. Nawet inni lekarze traktowali go z respektem.

Nie jest wcale taki nadzwyczajny, pomyślała ze złością, zmieniając pozycję. Po spacerze bolała ją noga. Wiedziała, że minie co najmniej tydzień, zanim będzie w stanie podjąć pracę. Tydzień...

Zerknęła na zegarek. Wayne obiecał, że wieczorem ją odwiedzi. Wayne... Próbowała obudzić w sobie ciepłe uczucia, jakimi zawsze go darzyła, ale tego wieczora nie mogła ich sobie nawet przypomnieć.

Ten cholerny Struan Maitland, pomyślała ze złością. To wszystko przez to, że jest taki duży. Nie, to nie ma nic wspólnego z jego wzrostem. Raczej z tym, że patrzy mi prosto w oczy tak intensywnie, jakby chciał zajrzeć do serca!

Opanuj się, na miłość boską, mówiła sobie w myślach. Pamiętaj o dawnej przysiędze i kieruj sama swoim życiem.

Przysięgi są po to, żeby je łamać. Gdyby Gina chciała dotrzymać danego sobie przyrzeczenia, leżałaby spokojnie w szpitalnym łóżku. Tymczasem po podwieczorku poczuła tak wielki niepokój o stan Lisy, że postanowiła do niej pójść.

Z trudem przebyła korytarz, dzielący ją od oddziału dziecięcego. Dyżurna pielęgniarka uśmiechnęła się na jej widok i położyła palec na ustach.

Gina podeszła do łóżka i spojrzała na leżące w nim dziecko. Dziewczynka miała zamknięte oczy, ale chyba nie spała. Pod wpływem impulsu Gina przysiadła obok chorej i dotknęła łagodnie jej włosów. Potem zaczęła je czule głaskać.

Powieki Lisy drgnęły. Tylko raz, jakby pod wpływem nagłego przypływu nadziei. Kiedy zobaczyła, kto przy niej siedzi, w jej oczach odbił się tępy ból, po czym natychmiast zamknęła powieki.

- Nie jestem twoją mamą, Lisa - szepnęła Gina - ale wiem, jak się czujesz. Moja mama umarła, kiedy byłam niewiele starsza niż ty. Myślałam, że to koniec świata. Myślałam, że na zawsze zostanę sama. Ale myliłam się, Lisa. Trafiłam na ludzi, których byli mi bliscy, których potrzebowałam i wiedziałam, że oni potrzebują mnie. Teraz znów czuję się samotna, Lisa. Dopiero co przyjechałam do Gundowring i miałam wypadek... Tak jak ty chciałabym znaleźć przyjaciółkę.

Dziecko nie odpowiedziało, ale Gina nie oczekiwała na razie reakcji. Mimo bólu nogi siedziała przy chorej przez godzinę, głaszcząc ją po głowie.

Napięcie Lisy stopniowo zmalowało. Po jakimś czasie zapadła w głęboki, nie udawany sen. Gina wiedziała, że zapewniła jej spokojną noc. Właśnie na to liczyła. Odwróciła się od łóżka i dostrzegła Wayne'a, który obserwował ją, stojąc w otwartych drzwiach. Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła po swoje kule.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Przepraszam, że nie czekałam w swoim pokoju.

- Powiedzieli mi, gdzie cię znajdę. - Wayne zmarszczył brwi i spojrzał na śpiące dziecko, a potem pocałował Ginę zdawkowo w czoło. - Chyba nie powinni jeszcze zmuszać cię do pracy.

- Oni mnie nie zmuszali. Ja chciałam... Ona jest taka samotna, Wayne...

- Rozumiem. - Jego spojrzenie złagodniało. - Tak jak kiedyś ty. I wygląda na to, że ona też wyląduje w rodzinie zastępczej.

Gina zagryzła wargi i spojrzała ze współczuciem na śpiące dziecko.

Z recepcji dobiegły podniesione głosy, a w chwilę później na korytarzu pojawiła się jakaś wyraźnie zdenerwowana kobieta. Szła w stronę drzwi, w których nadal stała Gina.

- Czy mogę przejść? - spytała nerwowo.

- Lisa właśnie zasnęła - powiedziała Gina łagodnie. - Czy pani jest jej ciotką?

- Tak. - Kobieta zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem. - A co to panią obchodzi?

- Nazywam się Gina Buchanan. - Z trudem wyciągnęła rękę, omal nie tracąc równowagi. - Wiem, że nie wyglądam na lekarza, ale jestem pediatrą. Doktor Maitland prosił, żebyśmy zbadała Lisę.

- Och... - Kobieta otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. - Słyszałam o pani. Mówi o tym całe miasteczko. - Zerknęła na Wayne'a, jakby zastanawiając się, co go łączy z Giną, a potem

wskazała trzymaną w ręku torbę. - Nie będę jej budzić. Przyniosłam tylko czystą koszulę nocną.

- Nic się nie stanie, jeśli ją pani zbudzi - powiedziała Gina, dochodząc do wniosku, że Lisa ucieszy się z wizyty.

- Nie. - Kobieta cofnęła się gwałtownie. - Nie mam czasu. Moje dzieci nie jadły jeszcze podwieczorku. Spędziliśmy cały dzień na plaży, a ja muszę im jeszcze wyprasować ubranka na rano.

- Ile pani ma dzieci? - Gina czuła, że Wayne się niecierpliwi, ale nie zwracała na to uwagi.

- Troje. To wystarczy - dodała tak agresywnym tonem, jakby postawiono jej jakiś zarzut. - Ci lekarze uważają, że powinnam wziąć do siebie Lisę, ale nie zrobię tego. Mój stary był wściekły, kiedy chciałam mieć trzecie dziecko. Co innego, gdyby była chłopcem, choć i tak... Nie. Jest córką mojej siostry, ale skoro Jenny była taką egoistką, żeby się zabić, nie zamierzam opiekować się jej dziećmi. - Podała Ginie torbę, omal jej przy tym nie przewracając, i szybko opuściła szpital.

- Mój Boże... - mruknął Wayne. - Dziecku będzie chyba lepiej w rodzinie zastępczej niż u tej kobiety.

- Być może - odpowiedziała, choć była przeciwnego zdania.

Małe mieszkanko na terenie szpitala było umeblowane i bardzo wygodne. Wayne zawiózł ją do niego po pracy. Siedziała, wyglądając przez okno, a on rozpakowywał jej walizki.

- Nie lubisz obciążać się bagażem - stwierdził z aprobatą.

- Oprócz książek nie przywozłaś prawie nic.

- To prawda. - Nigdy nie miała wielu rzeczy. Ciągłe przeprowadzki nie sprzyjały gromadzeniu przedmiotów, więc odzwyczaiła się od tego.

- Jeśli masz dość sił, chciałbym ci pokazać dom, którym się interesuję - zaproponował Wayne. - Potem zabiorę cię na I kolację. Znam dobrą nadmorską restaurację, która nie jest zbyt i droga.

Nie jest zbyt droga...

Gina szybko zdała sobie sprawę, że Wayne liczy się z każdym centem. Nie przyniósł jej do szpitala nawet kwiatów.

- Żądali dwudziestu dolarów za jeden bukiet - tłumaczył jej z przerażeniem - a one przetrwałyby zaledwie kilka dni.

Zerknęła na trzeci palec swej lewej dłoni. Był pusty. Zastanawiała się, czy Wayne zamierza kupić jej pierścionek. Zaraz, zaraz, ale o czym to on teraz mówi? Dom, kolacja...

- Chętnie - odparła.

Dom wyglądał niemal dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Stał w szeregu niemal identycznych, ceglanych, podmiejskich domków.

Przecież tego właśnie chciałam, powtarzała sobie w myślach. Całe życie marzyłam o poczuciu bezpieczeństwa, a Wayne był jedynym mężczyzną, który mógł mi je zapewnić. Będzie dobrym, troskliwym mężem i nigdy nie narazi mnie na kłopoty. Będziemy mieli taki sam dom jak wszyscy.

- Usiłuję ich nakłonić do obniżenia ceny - mówił Wayne.

- Jeśli opuszczą jeszcze pięć tysięcy, kupimy go.

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że złożyłeś ofertę, nie wiedząc, czy ten dom mi się spodoba?

- Wiedziałem, że ci się spodoba - odparł, marszcząc brwi.

- To funkcjonalny domek.

- Wiem, że jest funkcjonalny...

Dom idealnie pasował do Wayne'a. Wyobrażała już sobie, jak co niedzielę strzyże trawnik i myje samochód.

Co się ze mną dzieje? - pomyślała. Przecież tego właśnie chciałam. Za tym od dzieciństwa tęskniłam.

Wayne zawiózł ją do wybranej przez siebie restauracji. Gdy przekroczyli próg, zostali odcięci od zewnętrznego świata. Niskie sufity, intymne oświetlenie, uprzejma do przesady obsługa... Wayne był zachwycony.

- W dodatku nie jest tu zbyt drogo - powtórzył, gdy kelner przyjął od nich zamówienie i oddalił się.

- Sama się temu dziwię. - Gina spojrzała na kiepskie malowidło ściennie, przedstawiające południe Francji, i pomyślała z żalem, że gdyby wyburzono ten kawałek muru, mogłaby zobaczyć światła zatoki i lśniące fale morza.

Jakość dań odpowiadała poziomowi cen i Gina była coraz bardziej przygnębiona. Wayne zdawał się tego nie zauważać, ale kiedy wstawali od stołu, podał jej kule i powiedział:

- To był chyba dla ciebie zbyt duży wysiłek. Widzę, że dokucza ci noga.

- Tak - odparła, choć wcale nie czuła bólu.

- Zawiozę cię prosto do domu.

- Doskonale. - Spojrzała na niego z wdzięcznością, a potem skrzywiła się. A więc taką mieli stanowić parę. Władczy Wayne i wdzięczna Gina.

Wayne jechał w kierunku szpitala bardzo wolno, pamiętając o jej nodze. Pokonywał zakręty tak ostrożnie, że miała ochotę krzyczeć.

- Nie będę wchodził - oznajmił, gdy w końcu dotarli do celu.

- Wiem, że musisz się wyspać. - Spojrzył na nią z niepokojem.

- Czy nie jesteś zbyt zmęczona?

- Nie - odparła. Czuła senność, ale tylko dlatego, że wieczór nie był szczególnie atrakcyjny.

- A więc dobranoc, kochanie. - Oparł jej kule o samochód, wziął ją za rękę i pocałował. Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy miała osiem lat.

„Pocałuj Ginę na pożegnanie”, mawiała jego matka, a on wykonywał jej polecenie. Dla Giny ten moment był wtedy początkiem kolejnego długiego miesiąca, podczas którego była odcięta od kontaktów z przeszłością.

Ale teraz... Przecież teraz pocałunek powinien być czymś więcej... Była pasywna, ale tego właśnie Wayne od niej oczekiwał. Wyobrażała sobie jego zaskoczenie, gdyby pocałowała go bardziej namiętnie. Z pewnością uważał, że dobrze wychowane panienki tak się nie zachowują.



- Uważaj na siebie - powiedział, nie zdając sobie sprawy z jej nastroju. Potem poklepał ją przyjaźnie po ramieniu, wsiadł do swego funkcjonalnego samochodu i odjechał.

- Oto zakończenie szaleńczo namiętnego wieczoru.

Gina odwróciła się gwałtownie. O kilka kroków od niej stał Struan Maitland, który wyszedł właśnie ze szpitala.

- Zawsze się zastanawiałem, jak ten człowiek całuje kobiety. Teraz już wiem.

Gina zaczerwieniła się i omal nie straciła równowagi. Nie była w stanie wydobyć głosu.

- Moim zdaniem, dżentelmen nie pozwala swej wyśnionej kobiecie wracać do domu o kulach - ciągnął Struan. - Zwłaszcza gdy droga jest wyboista i roi się na niej od niebezpiecznych przeszkód.

- Jedyłą przeszkodą na mojej drodze jesteś ty - wykrztusiła.

- Czyżbyś uważała, że jestem niebezpieczny?

- Ależ skąd!

Kłamała. Był niebezpieczny z wielu powodów. Choćby dlatego, że w jego obecności czuła przyspieszone bicie serca.

- Czy on zawsze całuje cię w taki sposób? - W jego głosie było tylko uprzejme zainteresowanie. Podprowadził ją do drzwi, wziął od niej klucz i otworzył zamek. W jego towarzystwie wszystko było łatwiejsze, więc dlaczego chciała, żeby odszedł?

- To nie twoja sprawa.

- Istotnie. - Zapalił światło i rozejrzył się. - Miło tu i przytulnie. Czy reszta twoich rzeczy jest jeszcze w drodze?

- To wszystko, co mam. - Gina podeszła do kuchennego stołka i usiadła. Odzyskała już częściowo pewność siebie.

- Nie masz nawet pierścionka zaręczynowego? - Zbliżył się i uniósł jej rękę. - Czyżby nasz Wayne uważał, że lepiej inwestować w cegły i cement?

- Nasze stosunki nie powinny cię interesować.

- To prawda. - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Tyle tylko, że jesteś moją pacjentką i widzę po twoich oczach, że ty i Wayne tak do siebie pasujecie, jak Czerwony Kapturek i wilk.

- Wayne nie jest wilkiem - odparła, zagryzając wargi.

- Nie - przyznał z uśmiechem. - Ma w sobie za mało ikry. A więc musi być Czerwonym Kapturkiem.

- To, że jest administratorem i nosi garnitury...

- ...i liczy koszt każdej torebki herbaty i ma mi za złe, że pozwalam starszym pacjentom na wypicie drugiej filiżanki... No, chyba że wykorzystają tę samą torebkę... A poza tym zamawia najgorszą kawę u najtańszych dostawców, choć ma w swoim gabinecie najdroższą kolumbijską mieszankę i specjalny ekspres. Nie wspiera w wydziale zdrowia moich starań o dodatkowe fundusze, co więcej, sam wymyśla dodatkowe posunięcia, mające na celu obniżkę kosztów. Ten człowiek ma duszę skąpca.

- Posłuchaj, to nie ma nic wspólnego ze mną...

- Ależ ma. A ja chcę ci tylko powiedzieć, że kiedy za niego wyjdiesz, będziesz suszyć torebki z herbatą, używać śmietanki jedynie w co drugą niedzielę miesiąca i...

- Czy możesz przestać? - spytała, powstrzymując wybuch śmiechu. - To moja sprawa, za kogo wyjdę za męża. Twoja troska mnie wzrusza, ale jest zupełnie zbyteczna.

- Dlaczego chcesz za niego wyjść? - spytał łagodnie.

- Ponieważ... - Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Sama zadawała sobie to pytanie przez cały dzień. - Ponieważ chcę mieć dom, męża i dzieci. Chcę...

- Czy to wszystko? - przerwał jej Struan.

- To wystarczy. Chcę wyjść za męża.

- Więc wyjdź za mnie.

Gina wstrzymała oddech. Spojrzała na niego, ale nie była w stanie stwierdzić, czy mówi poważnie.

- Chyba żartujesz.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. - Z jego oczu zniknęło rozbawienie. - Może czas, żebym i ja miał dom.

- Nigdy nie wyszłabym za ciebie.

- Dlaczego? - spytał z urazą w głosie.

- Bo... jesteś niebezpieczny. Reprezentujesz wszystkie męskie cechy, których najbardziej nie lubię. Stoisz przede mną z tą swoją wielką brodą...

- Nie podoba ci się moja broda?

- Nie, nie podoba mi się!

- Czy to jest główna przeszkoda? - Znów się do niej uśmiechał, a ona poczuła, że traci głowę.

- Tak. Nie. - Sama nie wiedziała, co mówi. - Struan, wyjdź z mojego mieszkania. Zostanę żoną Wayne'a i na tym koniec.

- Och, nie - stwierdził z uśmiechem i pokręcił głową. - To wcale nie koniec, moja droga. Obleżenie twierdzy dopiero się zaczyna.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gina, uwolniona od szpitalnego rygoru, spała bardzo długo. Kiedy następnego dnia rano wstała, wzięła prysznic i zjadła śniadanie, postanowiła odwiedzić Lisę. Zaledwie wyszła za próg swego mieszkania, usłyszała najnowszą wiadomość.

On nie ma brody!

- Musi go pani zobaczyć - mówiła z podnieceniem jedna z pielęgniarek. - Zawsze myślałam, że mężczyźni zapuszczają brody, kiedy mają cofnięty podbródek czy coś w tym rodzaju. Ale doktor Maitland... och, on wygląda wspaniale!

Gina przypomniała sobie rozmowę, którą odbyli poprzedniego wieczoru, i doszła do wniosku, że Struan zastawia na nią pułapkę. Postanowiła zachować obojętność, lecz zanim dotarła na oddział dziecięcy, aż cztery osoby powiadomiły ją o tym doniosłym wydarzeniu.

- Może po prostu mu się znudziła - skomentowała inna pielęgniarka. - To była wspaniała broda, ale kiedy człowiek widzi jego twarz, zastanawia się, dlaczego ją ukrywał.

Lisa patrzyła tępo w sufit. Kiedy Gina weszła do jej pokoju, nie odwróciła nawet głowy.

Gina miała na sobie szeroką spódnicę i jasną bluzkę. Była pewna, że w tym stroju łatwiej się porozumie z pięcioletnią dziewczynką niż w szpitalnym szlafroku.

- Czy dziś bardziej wyglądam na lekarza, Lisa? - spytała, siadając na brzegu łóżka i uśmiechając się do niej.

Żadnej reakcji. Dziecko nie poruszyło nawet powiekami. Gina pogłaskała małą po głowie i zaczęła się zastanawiać. W końcu wezwała pielęgniarkę.

- Siostró, czy może siostra przyprrowadzić wózek inwalidzki?

- Ona nie zechce na nim siedzieć, doktor Buchanan - oznajmiła pielęgniarka, patrząc sceptycznie na kule Giny. - Możemy ją przywiązać, ale... jak pani sobie poradzi?

- Nie mam zamiaru jej wozić. Chciałabym usiąść z nią na słońcu. Jest piękny dzień. Jeśli wezmę ją na kolana, możemy obie pojechać na spacer.

- Jeśli pani uważa, że wyniknie z tego coś dobrego...

- Wcale tak nie uważam. Ale mam nadzieję. Spróbujmy ją ubrać. Czy ma jakąś sukienkę?

Między szpitalem a brzegiem morza rozciągał się starannie zaprojektowany ogród. Pracowali w nim dobrowolnie pensjonariusze domu starców.

- Niech pani nie siedzi na tym niewygodnym wózku, doktor Buchanan - zawołał jeden z mężczyzn. Znało ją już najwyraźniej całe miasteczko. - Za budynkiem stoi trzciny leżak. Zaraz go pani przyniesiemy.

Zanim zdążyła zaprotestować, siedziały z Lisą na wygodnym leżaku, troskliwie owinięte kocem.

- Przecież to ja mam być lekarzem, a wy pacjentami!

- Kiedy wy, młodzi, wpadacie w kłopoty, starsi muszą was z nich wyciągać - odparła z przewrotnym uśmiechem jakaś co najmniej dziewięćdziesięcioletnia staruszka. - Ale jeśli jest pani w stanie zrobić coś dla tej małej...

Gina została sama. Leżała spokojnie, patrząc na morze i przytulając do siebie Lisę. Głaskała ją od czasu do czasu po włosach, ale nie zadawała żadnych pytań, licząc na terapeutyczne działanie ciepłych promieni słońca. Około południa ocknęła się z drzemki i stwierdziła, że Lisa ma otwarte oczy i rozgląda się niespokojnie.

- Co, Lisa?

Dziecko nie odpowiedziało, ale Gina domyśliła się, na czym polega problem. Obie wypiły rano po dużej szklance soku i odczuwały palącą potrzebę skorzystania z toalety. Chciała jednak zmusić dziecko do wykazania inicjatywy.

Wiedziała, że Lisa, leżąc w pokoju szpitalnym, załatwia się w łóżku. Ale kiedy wychodziły na dwór, nie pozwoliła jej założyć pieluszki.

Miała nadzieję, że jej metoda okaże się skuteczna.

- No proszę! Moje dwie ulubione młode damy!

Gina odwróciła głowę i ujrzała na trawniku Struana, który szedł w ich stronę. Struana bez brody...

Jego ciemne włosy rozwiewał lekki wiatr. Miał szczupłą twarz o ostrych rysach i był niezwykle przystojny. Gina patrzyła na niego, nie mogąc wydobyć słowa, on zaś pochylił się nad Lisą.

- Poznajesz mnie, młoda damo? - spytał. - Doktor Buchanan uważała, że moja broda może wystraszyć potencjalne kandydatki na żonę. No, w każdym razie jedną kandydatkę. No więc zgoliłem ją. - Chciał wziąć dziecko na ręce, ale Gina potrząsnęła nerwowo głową.

Zapadła cisza. Napięcie rosło. Dziecko z coraz większym trudem panowało nad swoją potrzebą, a Gina udawała, że nie wie, o co chodzi i błogosławiła w duchu Struana za jego wrażliwość.

- Toaleta... - wyszeptała w końcu Lisa.

Struan szeroko otworzył oczy, ale Gina ponownie potrząsnęła głową i pochyliła się nad dziewczynką.

- Co mówiłaś, Lisa?

- Toaleta... - wykrztusiła mała głośniej, a Gina z trudem powstrzymała okrzyk radości. Pierwsze słowo. Początek.

Podniosła wzrok i ujrzała, że Struan uśmiecha się równie radośnie jak ona.

- Brawo, Lisa - powiedział, biorąc małą na ręce. - Zaraz cię zaniosę...

Nie zdążył. Dziewczynka czekała zbyt długo. Na spodniach Struana pojawiła się duża, mokra plama. Lisa skrzywiła się boles'nie, a po jej policzkach pociekły łzy wstydu.

Łzy. Poprzednio nie zdradzała żadnych emocji...

- Nic się nie stało, kochanie. - Struan przytulił ją do piersi i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Mam dziesięć par spodni, specjalnie na takie okazje.

- Siostró, Lisa musi się przebrać - zwrócił się Struan do przechodzącej właśnie pielęgniarki. - Czy mogłaby siostra...?

- Oczywiście. - Dziewczyna wyciągnęła ręce, ale Gina potrząsnęła głową.

- Poczekajcie chwilę - powiedziała. - Lisa, mam ochotę zjeść lunch na dworze. Czy chcesz się do mnie przyłączyć?

- Zrobimy piknik - zawołał wesoło Struan. - Czy ja też mogę przyjść?

- Jeśli będziesz grzeczny - odparła Gina.

- Zawsze jestem grzeczny - oznajmił urażonym tonem, a Ginie wydało się, że dostrzega na twarzy dziecka cień uśmiechu.

- Czy chcesz zjeść z nami lunch, Lisa? - spytała ponownie. Zapadła długa cisza. Dziewczynka spojrzała jej w oczy, a potem zerknęła na Struana i uśmiechnęła się.

- Tak...

- Wiedziałem, że się co do ciebie nie myślę - powiedział Struan, gdy tylko pielęgniarka poszła z Lisą w stronę budynku. Potem przyniósł sobie krzesło i usiadł obok niej. - Brawo, dobra robota.

- Ona chciała mówić - odparła Gina - ale po prostu nie wiedziała, jak zacząć. Jej życie rozpadło się na kawałki.

Sama знаła to uczucie. Po śmierci matki uważała, że nastąpił koniec świata. Chciała zamknąć się w sobie; nie mogła normalnie funkcjonować.

Struan patrzył na nią uważnie. Dostrzegł cienie pod jej oczami.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

- O czym? - spytała, wracając gwałtownie do rzeczywistości.

- Widzę twoje podkrążone oczy. Czy masz jakieś problemy?

- Owszem, mam jeden problem - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Zwlekałam z pójściem do toalety tak długo jak Lisa, więc jeśli nie podasz mi kul, nie odpowiadam za konsekwencje.

- Chcesz, żebym cię zaniósł?

- Nie, dziękuję - odparła z godnością. - Nie pozwalam się nosić na rękach mężczyznom, którzy mają poplamione spodnie.

Lunch upłynął w dość dziwnej atmosferze.

Mimo unoszącego się w powietrzu napięcia zjedli z apetytem szpitalne kanapki, leżąc w cieniu na kocu Giny. Struan stale wtykał Lisie do ust kawałki chleba, wmawiając jej, że są to samoloty, a dziewczynka uśmiechała się lekko, ale nic nie mówiła.

- Ona ma tylko jedną sukienkę - powiedziała pielęgniarka, która przebrała Lisę w koszulę nocną i przyniosła ją z powrotem do ogrodu. - Tę, w której się tu zjawiała.

- Może pojechalibyśmy razem dziś wieczorem do jej domu i przywieźli trochę ubrań? - spytał Struan.

- Dobrze - odparła Gina, z namysłem kiwając głową. - Lisa może pojechać z nami. Wybierze sobie, co będzie chciała.

W oczach dziecka odbił się nagły lęk.

- Czy nie jest jeszcze na to za wcześnie? - spytał Struan.

- Nie. - Gina wiedziała, że od śmierci matki Lisy minął już przeszło tydzień. Jej zdaniem dziewczynka musiała oswoić się z tą myślą i żyć dalej. Wiedziała też, że im dłużej będą zwlekać, tym trudniej jej będzie przezwyciężyć lęk.

- W takim razie zawiozę was tam dziś wieczorem, po pracy - oznajmił Struan z uśmiechem. - Co ty na to, Lisa?

Dziewczynka ponownie zamknęła się w sobie. Gina była na to przygotowana.

- Byle nie na motocyklu - powiedziała stanowczo.

- Więc nie lubisz mojego motocykla?

- A czy pozbędziesz się go, jeśli odpowiem twierdząco?

- Być może - odparł z przekornym uśmiechem. - Ale byłoby to z mojej strony wielkie ustępstwo, kochanie.

- Nie jestem... - Przerwała, czując, że nie panuje nad sytuacją. Na szczęście od strony szpitala nadeszła pielęgniarka.



- Doktorze Maitland, dzwoni pańska asystentka - powiedziała z szacunkiem do Struana. - Miał pan być już dziesięć minut temu w sali operacyjnej.

- Nieodpowiedzialni motocykliści - mruknęła Gina. - Nie można na nich w żadnej sprawie polegać.

- Zapłacisz mi za to. Ale jestem człowiekiem cierpliwym. Poczekam na stosowny moment.

O szóstej wieczorem Struan podjechał pod szpital służbowym samochodem, aby zabrać swe dwie pasażerki. Czekały na niego przy wyjściu. Lisa siedziała na wózku inwalidzkim, a Gina stała obok niej, opierając się na kulach.

Kiedy samochód Struana podjechał do krawężnika, w bramie szpitala stanął Wayne.

- Gina... - zawołał i przerwał, widząc Struana. Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

- Jedziemy z Lisą do jej domu po sukienki - oznajmiła szybko Gina, chcąc rozładować sytuację.

- Ty? - Wayne zmarszczył brwi, poprawił krawat i podszedł do nich bliżej. - Gina, powinnaś odpoczywać.

- Dalszy odpoczynek grozi mi śmiercią z nudów - oświadczyła pogodnie. - To zresztą niedaleko.

- Nie wydaje mi się to stosowne. - Wayne był coraz bardziej niezadowolony. - Czy nie może ich przywieźć jej ciotka?

- Lisa sama musi wybrać - odparła Gina, starając się zachować spokój. Spojrzała mu w oczy, usiłując dać do zrozumienia, o co jej chodzi. - To ważna sprawa, Wayne.

- Dlaczego jedziecie oboje? - spytał Wayne.

- Bo nie mogę prowadzić samochodu, a muszę tam być. - Gina przestała się uśmiechać. Nie miała ochoty tłumaczyć Wayne'owi wszystkich szczegółów w obecności dziecka.

- Więc ja cię zawiozę - zaproponował.

- Przykro mi, kolego, ale nic z tego - wtrącił Struan, sadzając dziewczynkę w samochodzie. - Moje ubezpieczenie obejmuje

pacjentów szpitala, których muszę czasem wozić. Ty w razie czego musiałbyś sam płacić odszkodowanie.

Jego słowa podziały jak cudowne zaklęcie. Wayne szybko się poddał.

- A więc w porządku. - Odwrócił się do Giny. - Chciałem odwiedzić cię dziś wieczorem.

- Po szachach? - spytał przewrotnie Struan, a Wayne spojrział na niego wyraźnie zdezorientowany.

- Prawdę mówiąc, tak. Około wpół do dziewiątej, Gina. Mam nadzieję, że do tej pory wrócisz.

- To nie jest pewne. - Struan uśmiechnął się do Lisy. - Po wizycie w domu Lisy chciałem zabrać obie pacjentki na spacer po plaży. Ponieważ jedna chodzi o kulach, a druga jeździ na wózku, może to trochę potrwać.

- Na spacer...

- Poprosiłem w kuchni, żeby zrobiono nam kanapki i herbatę - tłumaczył cierpliwie. - Jest piękny wieczór. Może zrezygnowałbyś z gry w szachy i poszedł z nami?

Wayne spojrział na niego takim wzrokiem, jakby uważał tę sugestię za głupi żart.

- Zobaczymy się później - powiedział do Giny i odszedł.

- Czarujący facet, prawda? - spytał Struan z niewinną miną, otwierając przed Giną drzwi samochodu.

Gina skrzywiła się. Wszystko było takie skomplikowane.

- Muszę wrócić i spotkać się z nim o wpół do dziewiątej

- westchnęła. - Wydaje się jakiś nieswój.

Struan usiadł za kierownicą i ruszył z miejsca.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był swój.

Gina spojrzała mu w oczy i wybuchnęła śmiechem, a on zerknął na nią z aprobatą.

- No proszę - powiedział. - Wiedziałem, że potrafisz się śmiać w taki sposób. Właśnie dlatego postanowiłem się z tobą ożenić.

- Nie gadaj głupstw - szepnęła po chwili milczenia, patrząc wprost przed siebie.

- Wcale nie gadam głupstw. W każdym razie nie wtedy, kiedy mówię poważnie. Więc teraz mówię poważnie, że mam zamiar się z tobą ożenić.

- Przecież mam zostać żoną Wayne'a. - Gina zacisnęła pięści.

- A ponieważ nie jestem zwolenniczką bigamii, ty nie wchodzisz w rachubę.

- Pozostaje mi tylko morderstwo - skostatował pogodnie.

- Niech Wayne uważa, kiedy pije to swoje kakao...

Gina stłumiła uśmiech i popatrzyła na niego z oburzeniem. Potem obejrzała się do tyłu. Lisa siedziała przypięta do fotela i obłożona poduszkami. Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Gina uśmiechnęła się do niej, ale dziewczynka nie zareagowała.

- Jesteśmy już prawie na miejscu, Lisa - oznajmił Struan, wyczuwając obawy Giny. - Jeszcze ze dwie minuty.

Lisa zrobiła jeszcze smutniejszą minę. Gina przestała się uśmiechać. Podobała jej się pogoda ducha, jaką objawiał Struan, ale wiedziała, że życie jest sprawą poważną. Siedzące z tyłu dziecko było tego kolejnym dowodem.

Ale ona nie potrzebowała dowodów. Wiedziała, że wybrała właściwą drogę. Podjęła decyzję i nie zamierzała jej zmieniać z powodu przystojnego mężczyzny o niebezpiecznym uśmiechu.

W chwilę potem zjechali z szosy. Struan ostrożnie prowadził samochód wyboistą drogą, prowadzącą do nadmorskiego domku. Widać było, że właściciele nie mają pieniędzy na remont zaniedbanego budynku, ale troszczą się o ogród. Rosły w nim przeróżne kolorowe kwiaty, a z tyłu rozciągały się rzędy starannie uprawianych warzyw. Ktoś włożył w nie dużo starań i serca.

Gina zastanawiała się, jaką kobietą była matka Lisy. Dlaczego tak dbała o warzywnik, choć nie zamierzała zebrać plonów swej pracy? Zerknęła na Struana i poznała po wyrazie jego twarzy, że myśli o tym samym.

- To jest nielogiczne - mruknął. - A jednak...

- Czy policja jest pewna, że to było samobójstwo? - spytała szeptem, nie chcąc, by usłyszała ją Lisa.

- Tak. Zażyłła śmiertelną dawkę środków nasennych.

- Kto jej tyle zapisał?

- Nie ja. - Struan zmarszczył brwi. - To też jest nielogiczne. Te tabletki... Musiała je kupić w Melbourne. Przed trzema tygodniami zostawiła Lisę u siostry i spędziła cały dzień w Melbourne. Sandra twierdzi, że wróciła przygnębiona. Jej zdaniem, spotkała tam ojca Lisy i doszła do wniosku, że ich związek nie ma żadnej przyszłości.

Żadnej przyszłości... Gina spojrzała na uroczy domek i na rozciągające się za nim morze. Jenny mieszkała w przepięknym miejscu i miała kochającą córkę. A także ogród, o który tak dbała.

- To nie ma sensu...

- Miłość skłania ludzi do dziwnych zachowań.

- Ale nie aż tak dziwnych. - Gina zacisnęła usta. - Chcę wiedzieć, kto jej zapisał te środki nasenne. Czy ktoś to wie?

- Nie. - Struan potrząsnął głową. - Ale to nie jest ważne.

Ona popełniła samobójstwo. Można odkryć przyczyny stanu psychicznego, który ją do tego skłonił, ale to nie przywróci jej życia.

- Ale może przywróci do życia Lisę.

Struan wziął dziewczynkę na ręce i wniósł do wnętrza domku. Był tu już przedtem i wiedział, gdzie jest wejście.

- Jenny kilkakrotnie zamawiała wizyty domowe - wyjaśnił. - Kiedy Lisa miała zapalenie migdałków i kiedy ona sama skreśliła nogę w kostce.

Tym dziwniejsze jest to, że środki nasenne przepisał jej inny lekarz, pomyślała Gina. Wiedziała jednak, że pacjenci cierpiący na depresję wolą pójść czasem do obcego lekarza, jakby wstydzili się swojej choroby.

Teraz jednak musiała zająć się Lisą. Dziewczynka była blada i leżała bezwładnie w ramionach Struana.

Znajdowali się w dziecięcej sypialni. Łóżko było starannie posłane i przykryte barwną kapą. Ściany zdobiły kolorowe plakaty, przedstawiające koty, konie i litery alfabetu. Był to pokój urządony przez kochającą matkę.

Na łóżku leżał mały pluszowy tygrys bez jednego ucha. Gina podniosła go i przyłożyła do policzka dziewczynki.

- Czy to twój przyjaciel, Lisa? Cisza.

- Jeśli chcesz, możemy zabrać go do szpitala. Dziecko nadal milczało.

- Dobrze, zostawimy go tutaj. - Gina chciała odłożyć tygrysa na łóżko, ale Lisa szybko wyciągnęła po niego rękę.

- Sam - szepnęła. Po jej policzku spłynęła łza. - Mój Sam.

- Chcesz, żeby pojechał z nami?

- Tak.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, Lisa. A teraz powiedz doktorowi Maitlandowi, co chcesz zabrać ze swojej szafy.

W ciągu następnej godziny oboje ze Struanem robili coś, o czym nie czytali w żadnym podręczniku medycyny, i osiągnęli wspaniałe wyniki. Lisa leżała spokojnie na łóżku z coraz pogodniejszym wyrazem twarzy, a Struan pokazywał jej kolejno różne części garderoby. Jej szlafrok. Jej płaszcz...

Do walizki trafiło kilka niepotrzebnych ubranek, ale pod koniec Lisa znów zaczęła się uśmiechać.

- Czy możemy już zamknąć walizkę? A może obejdziemy inne pokoje, żeby sprawdzić, czy nie zapomnieliśmy o czymś ważnym?

- To dobry pomysł - potwierdziła Gina. - Czy spróbujesz chodzić sama, Lisa?

- Nie - wyszeptła z lękiem dziewczynka.

- Nic nie szkodzi. - Struan wziął ją na rękę. - Zaczynam nabierać wprawę w noszeniu dzieci.

Obszedł z Lisą cały dom, przemawiając do niej przyjaźnie. Gina wlokła się za nimi o kulach.

Pozostał ostatni pokój. Gina odetchnęła głęboko i spojrzała w oczy Struana. Nie mogli tego uniknąć. Dziecko musiało przez to przejść. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Podobnie jak sypialnia dziecka, pokój był przytulny i czysty, tyle że zamiast plakatów na ścianach wisiały fotografie Lisy w różnych pozach, od dnia narodzin aż do chwili obecnej. Dziewczynka zaczęła się rozglądać.

- Tutaj umarła moja mama - wyszeptwała z bólem.

- To prawda. - Struan wskazał jej oprawioną w srebrne ramki fotografię, przedstawiającą uśmiechniętą młodą kobietę z Lisą na rękach. - Czy chcesz zabrać ją ze sobą do szpitala?

- Nie - odparła z trudem. - Mama miała zdjęcie ze mną i z Fryderykiem. Trzymała je w górnej szufladzie nocnego stolika.

- Jej twarz drgała nerwowo. Widać było, że powstrzymuje łzy.

- Chcę mieć zdjęcie z mamą i Fryderykiem.

- Pamiętam Fryderyka. - Struan kiwnął głową. - Tak nazywał się twój kucyk, który umarł w zeszłym roku, prawda?

- Tak jak mama - wyszeptwała Lisa. - Puść mnie.

Struan ostrożnie postawił ją na podłodze. Dziewczynka wolno podeszła do łóżka, opadła na nagi materac i zaczęła boleśnie szlochać. Struan, wiedziony odruchem, chciał się do niej zbliżyć, ale Gina go powstrzymała.

- Nie, Struan. Dajmy jej się wypłakać.

Otworzyła górną szufladę nocnego stolika i dostrzegła zdjęcie, przedstawiające uśmiechniętą Lisę, jej matkę i starego kuczka. Kiedy wzięła je do ręki, jej oczom ukazała się wizytówka. Wizytówka jakiegoś lekarza. Schowała ją, a potem położyła dłoń na ramieniu Struana.

- Myślę, że powinniśmy poczekać na dworze - powiedziała.

- I zostawić ją samą?

- Ona musi się z tym kiedyś pogodzić. - Gina podeszła do Lisy i pogłaskała ją po głowie. - Lisa, czekamy w ogrodzie. Przyjdź do nas, kiedy będziesz chciała.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - wybuchnął Struan, kiedy wyszli na dwór. - Jeśli dostanie ataku...

- Nie sądzę, żeby dostała ataku - odparła Gina. - Ma w sobie dużo siły.

- Obyś się nie myliła.

Gina podniosła wzrok i zacisnęła usta.

- Robię, co mogę - oznajmiła. - Jeśli masz jakiś lepszy pomysł...

- Nie mam - przyznał i włożył ręce do kieszeni spodni. Potem spojrzał na nią i zdobył się na uśmiech. - Jak to dobrze, że mamy wśród nas pediatrę.

- To, co robię, nie ma nic wspólnego z pediatrią.

- Wiem. - Zmarszczył brwi. - Gdzie nauczyłaś się zwalczać cierpienia duchowe?

- Przeszłam twardą szkołę.

- Taką samą jak Lisa?

- Tak. Ale byłam od niej starsza.

- Ile miałaś lat?

- Osiem. I też straciłam matkę.

- Ale miałaś ojca?

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Mój ojciec odszedł na dobre, nim skończyłam pięć lat. Służył w marynarce i chciał mieć swobodę. Kiedy lekarze stwierdzili, że mama ma raka, zawiadomili go o tym, ale on się nie zjawił. Nie widziałam go, odkąd się wyprowadził.

- Więc zostałaś sama?

- Nie całkiem. Miałam matkę Wayne'a... i Wayne'a.

- Zaczynam rozumieć. - Struan spojrzał na nią łagodnie.

- Nie, nic nie rozumiesz. Gdybyś rozumiał, nie żartowałbyś z małżeństwa i ze związków między ludźmi.

- Ja wcale nie żartuję.

Czuła na sobie jego badawcze spojrzenie i miała ochotę uciec przed nim na koniec świata. Na szczęście usłyszała za sobą skrzypienie otwieranych drzwi, więc odwróciła głowę. Lisa stała

na progu, trzymając w jednym ręku tygrysa, a w drugim wybraną fotografię.

- Możemy już jechać do... do... - Urwała i znów zaczęła płakać. Struan podbiegł do niej i uniósł ją wysoko, a potem znów postawił na nogi.

- Możemy już jechać na plażę i urządzić piknik - oznajmił wesoło. - Weźmiemy Sama, jeśli obieca, że nie będzie za dużo jadł.

Lisa przestała płakać i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jesteś niemądry - powiedziała niepewnie. - Przecież Sam nie umie jeść.

- Masz rację, on jest niemądry - przyznała Gina. - Zachowuje się niemądrze, odkąd go poznałam. Jest wielkim, brzydkim głuptasem...

- Wypraszam sobie!

- On nie jest brzydki!

Oba głosy zabrzmiały równocześnie, a Gina roześmiała się głośno. Była szczęśliwa, bo wiedziała, że od tego momentu Lisa zacznie robić postępy.

I zamieszka u swojej ciotki, która jej wcale nie chce, pomyślała po chwili. A ja zamieszkam w domu Wayne'a.

- Jedźmy już, Struan - powiedziała nieswoim głosem. - Chcę mieć ten piknik za sobą.

- Co się stało? - Struan spojrzał na nią z niepokojem. - Wyczuwam nagłą zmianę nastroju. Przecież piknik musi być wesoły!

Gina zagryzła wargi, a potem kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Masz rację - przyznała. - Piknik musi być wesoły.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Plaża była cudowna. Struan zatrzymał samochód w osłoniętym miejscu, o kilkaset metrów od domu. Zbocze było tu łagodne, więc Gina mogła bez trudu zejść w dół.

- Wybór właściwego miejsca jest bardzo ważny - tłumaczył, biorąc na ręce Lisę, która po tygodniu leżenia w łóżku była zbyt słaba, by chodzić po piasku. Dziewczynka tuliła do piersi tygrysa. - Nie potrzebujemy tu głodnych mrówek, koników polnych ani mew. I choć mamy z sobą Sama, musimy zachować ostrożność.

- Doktor Buchanan została z tyłu - powiedziała Lisa, odwracając głowę i widząc, że kule Giny grzęzną w piasku.

- Wiem. Ona będzie moją następną pasażerką. - Ostrożnie posadził Lisę na kocu i wrócił po Ginę.

- Nic mi nie jest - broniła się Gina. - Dam sobie radę.

- Kłamiesz - odparł i bez dalszej dyskusji wziął ją na ręce. Oparła się o jego pierś, próbując stłumić uczucie, które budziła w niej jego bliskość.

Tuż przed kocem Struan zatrzymał się i spojrzał Ginie w twarz. Wiejący od morza wiatr rozwiewał jej jasne włosy, odsłaniając opatrunek nad okiem.

- Bydlak - mruknął Struan. - Żałuję, że nie uderzyłem go mocniej.

- Ja też - odparła Gina. Przypomniała sobie Lloyda i w jej oczach pojawił się smutek.

- Do diabła! Po co ja o tym mówię? - Postawił Ginę na piasku i spojrzał na dziewczynkę. - Coś ci powiem, Lisa. Umówmy się, że dziś nie będziemy myśleć o żadnych smutnych rzeczach. Po prostu zjemy to, co mamy do zjedzenia, i zapomnimy o całym świecie. Zgoda?

Lisa zastanowiła się. Spojrzała kolejno na Struana, Ginę i Sama.

- Ja już zjadłam swój podwieczorek - wyznała jakby z niechęcią. - W szpitalu.

- Przecież mieliśmy zapomnieć o całym świecie - przypomniał jej Struan.

- A więc to nie ma znaczenia?

- Nic nie ma znaczenia - odparł stanowczo, zerkając na Ginę.

- Liczy się tylko to, co jest teraz.

- Zgoda - szepnęła Lisa.

Szpitalna kuchnia przygotowała wspaniałe dania.

- Pani O'Donnell jest moją przyjaciółką - tłumaczył Struan, pokazując im z dumą zawartość koszyka. Wielka zapiekanka w cieście była nadal gorąca, bo owinięto ją grubą warstwą serwetek. Chrupiące bułeczki posmarowane były pysznym masłem, a sałatka zawierała wszystkie jarzyny rosnące w szpitalnym ogrodzie. Ciastka z kremem mogły zadowolić nawet najbardziej wybrednego smakosza, a butelka lemoniady, przyniesiona w lodówce turystycznej, była cudownie oszroniona.

- To dla ciebie, maleńka - powiedział Struan. - Pani doktor dostanie coś innego. - Wyjął z lodówki butelkę wina i dwa kieliszki.

- To już nie jest piknik, tylko przyjęcie - oświadczyła Gina z wyrzutem.

- I o to chodziło. - Struan nalał wszystkim do pełna i uniósł swój kieliszek. - Dzisiejszy wieczór trzeba uczcić. Za dalszy ciąg naszego życia. Za przyszłość.

Lisa spojrzała niepewnie na Struana, Ginę i Sama. Struan nadal czekał z uniesionym kieliszkiem.

- Za przyszłość - powtórzył, patrząc wymownie na Ginę. Gina westchnęła. Przyszłość... Stabilizacja... Poczucie bezpieczeństwa... Wayne...

- Za przyszłość - powiedziała drżącym głosem.

Lisa wiedziała, czego od niej oczekują, ale przez chwilę nie mogła zdobyć się na odwagę. Jej wargi poruszały się bezgłośnie.

- Za przyszłość - szepnęła w końcu.

Potem wszyscy zapomnieli o swych obawach i zabrali się do jedzenia. Wieczór był cudowny. Po kolacji zbudowali gigantyczny zamek z piasku. Miał fosy, baszty i ogrody z wodorostów. Struan kilkakrotnie przynosił w lodówce, jak w wiadrze, wodę morską, którą napełniał fosy, ale cenne krople szybko wsiąkały w miękki piasek.

- Nie wolno ci teraz przestać - powiedziała Lisa. - Jeśli woda opadnie, do zamku dostaną się smoki.

Struan westchnął dramatycznie i uśmiechnął się.

- Zawsze broniłem kobiety przed smokami - powiedział - ale nie wiedziałem, że przybierze to taką formę.

- Szybko! - zawołała Lisa. - Szybko! Woda już prawie uciekła.

Struan ponownie ruszył w kierunku morza. Gina patrzyła na niego uważnie. Bez brody był jeszcze przystojniejszy. Miała ochotę zerwać się z miejsca i wejść za nim do wody.

To po prostu instynkt, powtarzała sobie w duchu. Musisz się opanować!

W końcu nastąpił przypływ, który napełnił fosę, i Struan mógł odpocząć. Upadł z ulgą na piasek i patrzył na Ginę, która trzymała Lisę na kolanach i opowiadała jej bajkę o smokach i księżniczkach, usłyszaną niegdyś od matki.

Lisa słuchała z szeroko otwartymi oczami, przytulając się do Giny i przyciskając do piersi ukochanego tygrysa. Po pewnym czasie opuściła głowę i zapadła powoli w sen.

Gina spojrzała na leżące obok niej dziecko i poczuła taki smutek, że omal się nie rozplakała.

- Mów dalej - poprosił Struan. - Ja też chcę wiedzieć, co się stało z księciem Lochnivarem i jego ukochaną Ethel.

- Pobrali się i mieli dzieci. On prał pieluchy, a ona zapisała się do organizacji feministycznej.

- Chyba żartujesz.

- Jakże mogłabym żartować z tak ważnych spraw? - Gina spojrziała na śpiące dziecko. - Struan, co się stanie...

- Co się stanie z Lisą? Nie wiem. Do tej pory idzie ci bardzo dobrze.

- Przyszło mi do głowy... - Zagryzła wargi. - Przełamałam jej mechanizm samoobronny. Dopóki nie chodziła i nie mówiła, mogliśmy trzymać ją w szpitalu, ale teraz...

- Możemy ją zatrzymać jeszcze przez jakiś czas. Jedynym człowiekiem, który może zaprotestować, jest twój Wayne.

- On nie zaprotestuje.

- Chcesz się założyć? On nienawidzi pacjentów, do których trzeba dopłacać. Kiedy tylko uzna, że wyzdrowiała, skieruje ją do rodziny zastępczej.

- Czasem przynosi to dobre rezultaty.

- Czasem - przyznał - ale nie w tym miasteczku.

- A jej ciotka?

- Właśnie dlatego chcę zyskać na czasie. Jeśli uda mi się namówić Sandrę i jej męża, żeby ją do siebie zabrali, przynajmniej zachowa kontakt z dotychczasowym otoczeniem.

- Ale oni jej nie chcą.

- Może teraz, kiedy wraca do siebie, zmienią zdanie - powiedział niepewnie, a Gina wiedziała, że sam w to nie wierzy.

- Struan...

- Słucham cię, kochanie.

- Przestań tak do mnie mówić. - Była pewna, że jest to po prostu jego ulubiony zwrot, że używał go w stosunku do wielu kobiet. - Powiedz mi, co się stało w dniu śmierci jej matki. Dlaczego Lisa była tak długo sama w domu? To nie ma logicznego wytłumaczenia.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Jenny kochała swoją córkę. Nie wierzę, że popełniła samobójstwo, nie podejmując żadnych kroków... Struan, kiedy u mojej matki wykryto raka, myślała tylko o tym, kto się mną zajmie. W końcu przeżyłam jedną koszmarną noc,

bo wszystko wydarzyło się zbyt szybko, ale Lisa była sama przez dwa dni. Nie wierzę w to, że Jenny mogła zapomnieć o córce.

- Nie zapomniała o niej. Poprosiła Sandrę, żeby wzięła ją do siebie na jeden dzień... Powiedziała jej, że chce mieć ten dzień dla siebie, ale nie podała powodu. Sandra była chyba wściekła, bo musiała zajmować się Lisą dwa tygodnie wcześniej, kiedy Jenny pojechała do Melbourne. Tak czy owak Jenny zostawiła Lisę u Sandry o dziewiątej rano i poprosiła, żeby odwiozła ją wieczorem. Sandra twierdzi, że Jenny zachowywała się dziwnie. Kazała jej obiecać, że zadba o Lisę, gdyby coś jej się stało. Obiecała jej to, ale miała nadzieję, że nie będzie musiała dotrzymywać tej obietnicy.

- Z tego, co wiemy, wynika, że Jenny pojechała potem do domu i wzięła nadmierną dawkę środków nasennych. O dwunastej w południe musiała już nie żyć. Liczyła na to, że Sandra odwiezie dziecko i znajdzie jej zwłoki, ale Sandra się spieszyła i nadal była wściekła. Choć w domu było ciemno, wysadziła Lisę przy furtce i zostawiła ją tam. Dom stoi na odludziu, więc Lisa nie mogła pobic po pomoc. Jej nauczycielka myślała, że jest chora, ale wstąpiła do niej w dwa dni później, żeby sprawdzić, co się stało. Gdyby nie ta nauczycielka... - Wzruszył ramionami. - To okropna historia, ale tak bywa.

- Lisa nie może zamieszkać u Sandry. Przecież ona nie powinna się nią zajmować.

Struan usiadł i dotknął lekko twarzy Giny.

- Doktor Buchanan, gdzie pani zawodowa obojętność?

- Nie potrafię być obojętna.

- Czy traktujesz w ten sposób wszystkich pacjentów?

- Oczywiście, że nie. Ale...

- Ale przypadek Lisy przypomina ci własne przeżycia, prawda? Wiesz, co ją czeka.

- Owszem. Lisa powinna się jednak dowiedzieć, że jej matka przynajmniej próbowała o nią zadbać.

- Popelniając samobójstwo? - Struan parsknął śmiechem. - To wielka pociecha. Wydaje mi się często, że samobójstwo jest przejawem kompletnego egoizmu.

- Musiał istnieć jakiś powód - powiedziała. - Dla dobra Lisy musimy go odkryć.

- To nie nasza sprawa.

- Więc chcesz iść po linii najmniejszego oporu?

- A ty nigdy tego nie robisz? Przecież tak właśnie postępujesz, wychodząc za Wayne'a. - Struan ułożył śpiącą Lisę na kocu i przykrył ją troskliwie. Potem odwrócił się do Giny. - Idziesz po linii najmniejszego oporu.

- Nie wtrącaj się do nie swoich spraw.

- Ależ to jest moja sprawa. - Chwycił oburącz jej dłonie. - Musi mnie obchodzić to, że kobieta, którą chcę poślubić, jest zaręczona z kimś innym.

- Nie bądź śmieszny - zawołała, usiłując uwolnić ręce.

- To nie ja jestem śmieszny, droga Gino, tylko Wayne. Nigdy i nigdzie nie spotkałem tak śmiesznego, nadętego człowieczka, a ty mówisz, że chcesz za niego wyjść za mąż.

- Wayne... Wayne jest najbardziej solidnym człowiekiem, jakiego w życiu znałam. Gdybyś wiedział...

- Więc powiedz mi o tym - poprosił.

- Puść mnie - zażądała, bezskutecznie próbując się wyrwać.

- Powiedz mi najpierw, dlaczego Wayne jest taki solidny.

- On dotrzymuje obietnic... - Gina była bliska łez. - Na miłość boską...

- Jakich obietnic? - spytał z uprzejmym zainteresowaniem.

- Wszystkich - odparła, zamykając oczy. - Jest jedynym człowiekiem, który nigdy mnie nie zawiodł. Mój ojciec... był

bardzo interesującym człowiekiem. Obiecał, że zawsze będzie się nami opiekował, ale dotrzymał tej obietnicy tylko do chwili, w której poznał inną kobietę. Moja matka obiecała, że zawsze

będzie przy mnie, a potem zachorowała na raka. Jako dziecko miałam jej to za złe. Później... jej najlepszą przyjaciółką była matka Wayne'a. I ona obiecała, że się mną zajmie, ale zapomniała o tym natychmiast po pogrzebie. Zostałam oddana do rodziny zastępczej. Ale Wayne... obiecał, że będzie odwiedzał mnie raz w miesiącu, i dotrzymał słowa. Bywałam w dość dziwnych miejscach, ale on zawsze przyjeżdżał. Nie potrafisz sobie wyobrazić, ile to dla mnie znaczyło.

- Więc wychodzisz za niego z wdzięczności?

- Nie! - Szarpnęła się i tym razem puścił jej rękę. - Wychodzę za niego, bo jest dobry, czuły i troskliwy... i nigdy mnie nie zawiedzie. Jeśli będziemy mieli dzieci, zachowa się w sposób odpowiedzialny i... i...

Zamilkła, sięgnęła po kule i wstała.

- Chcę wracać do domu, Struan.

- Małżeństwo to coś więcej niż tylko poczucie bezpieczeństwa.

- Kto to mówi? Ty z twoim motocyklem i tą cholerną brodą...

- Nie mam już brody. Myślałem, że zauważyłaś.

- Ale dalej jesteś...

- Niebezpieczny?

- Tak. Przysięgłam sobie, że nigdy nie wyjdę za takiego mężczyznę jak ty.

- Bo boisz się, że znowu byłabyś narażona na cierpienie, gdyby coś się stało... gdybym od ciebie odszedł?

- Nie.

- Boisz się ryzykować, prawda? - Struan wstał i podtrzymał ją, widząc, że kule grzęzną w piasku. - Oddałaś serce swemu ojcu, a on ci je złamał. Matka cię opuściła, więc chcesz przejść przez życie, nie angażując się w żadne uczucia.

- To nieprawda. Wayne i ja będziemy mieli dzieci.

- Ale ty będziesz o nie dbała. A kto zadba o ciebie?

- Wayne. A ja o niego.

- Wayne... - Struan potrząsnął głową. - Wayne ma w sobie tyle czułości co zimna ryba. Przez całe życie będzie się troszczył o koszty utrzymania, o swoje krawaty i o to, co pomyślą o nim inni. Jeśli raz mu się narazisz, zostawi cię. Wiem, że był dla ciebie dobry. Obiecał ci to, a obietnica jest dla niego świętą krową. Ale spróbuj coś pokombinować w rachunkach, żeby zapewnić jednodniowy pobyt w szpitalu starej kobiecie, która nie chce wracać do domu, bo jej mąż właśnie umiera, a przekonasz się, jak wygląda uczciwość Wayne'a.

Gina upuściła kule, które na piasku i tak były bezużyteczne. Struan wyciągnął ręce i podtrzymał ją. Zasłoniła uszy dłońmi.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała. - Nie mogę...

- Nie chcesz wiedzieć, co dla Wayne'a jest najważniejsze? Kobieto, przecież zamierzasz za niego wyjść! Najwyższy czas, żebyś się tego dowiedziała.

- Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć.

- Mogę się założyć, że nie wiesz. - Potrząsnął głową, a w jego oczach znów pojawił się przewrotny błysk. - Nie wiesz nawet, jaki jest w łóżku, prawda? - Spojrzał jej w oczy i roześmiał się. - Wiedziałem o tym. Nasz drogi Wayne nie splamiłby się takim uczynkiem. On chyba nawet nie wie, co to jest prezerwatywa. Kiedy się pobierzecie, będzie wysyłał cię po pigułki, bo on nie potrafi myśleć o takich nieprzyjemnych sprawach. A najwyżej dwa razy w tygodniu, przy zgaszonych światłach...

- Nie muszę tego słuchać! - Gina była czerwona jak burak. Uniosła zdrową nogę i kopnęła go z całej siły. Zachwiała się przy tym i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

- Musi pani panować nad swoimi odruchami, doktor Buchanan.

- Odwieź mnie do domu.

- Kiedy się złościsz, jesteś jeszcze ładniejsza. Wiesz, czego naprawdę ci brakuje?

Patrzył na nią przez długą chwilę, a potem, zanim zdała sobie sprawę, co zamierza zrobić, pochylił się i pocałował ją w usta.



Wayne nigdy nie całował jej w taki sposób. Ani on, ani nikt inny. Poczwała jego usta na swoich, poczuła uścisk jego dłoni i dotyk jego ciała. Wiedziała, że powinna się bronić, ale jak mogła się bronić, skoro miała chorą nogę, a on był tak cholernie silny?

Poza tym wcale nie chciała się bronić.

Nie wiedziała, co robi i o czym myśli, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jej ciało reagowało samoistnie na dotyk mężczyzny, na ciepłe, nadmorskie powietrze, na szum fal.

Zatonęła w wirze uczuć, których nie potrafiłaby za nic w świecie opisać. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego. Zadrzała, ale wiedziała, że nie ze strachu, lecz z pożądania.

Pocałunek trwał, a ona marzyła tylko o tym, by nigdy się nie skończył. Uniosła ręce i objęła jego twarz. Poczwała pod palcami gładką skórę. Czy zrobił to dla niej? W tym momencie miała nadzieję, że tak.

Pragnął jej. Czwała się pożądana. Mogło być jej z nim tak dobrze. Tak dobrze, jak jej matce z ojcem.

Na myśl o tym zastygła nagle w jego ramionach. Poczwał to i wypuścił ją z objęć.

- Co się stało, kochanie? - Spojrzał jej w oczy tak czule, że zamarło w niej serce.

Odwróciła się szybko, by uniknąć jego wzroku.

- Nie chcesz zmieniać swych starannie ułożonych planów? Czy o to ci chodzi, Gina?

- Nie. Tak! Po prostu... zostaw mnie w spokoju. Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał. Chcę...

- Chcesz Wayne'a?

- Tak!

- Wcale go nie chcesz, ale nie masz dość odwagi, żeby mu to powiedzieć.

- To nieprawda. Nie wychodziłabym za niego, gdybym tego nie chciała.

- Gina, czujesz się wobec niego zobowiązana. On zresztą sam się o to postarał.

- On o nic nie zabiegał. Po prostu był dobry.

- Może kiedyś był dobry, ale nie teraz.

- Czyżbyś chciał mi wmówić, że ty jesteś dobry? - spytała. - To śmieszne. Jesteś brutalem, który tratuje wszystko, co napotka na swojej drodze. A teraz odwieź mnie do domu. Mam na dziś dosyć twoich uwodzicielskich zapędów. Od tej pory chcę cię widywać tylko wtedy, kiedy będziesz musiał wezwać mnie na konsultację w sprawie pacjenta. To wszystko.

Przez chwilę patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem, po czym uśmiechnął się przewrotnie.

- To będzie dosyć trudne. Przecież podczas weekendu mamy jechać do Melbourne.

- My?

- Ty i ja, doktor Buchanan. Mam zamiar odwiedzić Lloyda i myślałem, że ty też chciałabyś się z nim zobaczyć. Zamówiłem dwa bilety lotnicze na piątek wieczór oraz pokoje w hotelu. Wracamy w niedzielę.

- Ale... - Gina patrzyła na niego ze zdumieniem. - Ja nie chcę jechać do Melbourne.

- Zgodziłaś się podjąć pracę w poniedziałek. - Głos Struana stał się nagle nieprzyjemnie ostry. - Czy nie uważasz, że powinnaś przedtem zobaczyć się z Lloydem? Do diabła, przecież jesteś mu chyba wdzięczna!

- Ale...

- Ale co?

Nie mogła nic powiedzieć. Nic, co udaremniłoby jego plan. Lloydowi groził z jej powodu paraliż. Musiała jechać.

- W porządku - powiedziała ze złością.

- Tylko tyle? Nie powiesz: „Dziękuję ci za to, że wszystko zorganizowałaś”? Albo: „To świetny pomysł”?

- Nie.

Wzruszył ramionami i nagle się uśmiechnął, po czym ukląkł obok niej i zaczął pakować rzeczy.

- Głowa do góry, Gina - powiedział, a ona zorientowała się, że czyta w jej myślach. - Wiem, że wizyta u Lloyd'a będzie trudna, ale może moje towarzystwo poprawi ci trochę humor.

Uniosła lodówkę turystyczną, nadal do połowy wypełnioną morską wodą.

Pokusa była zbyt wielka, by mogła się oprzeć. Chlusnęła zimną wodą wprost w uśmiechniętą twarz Struana.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W końcu mogła chodzić bez kul.

To była jedyna pocieszająca myśl, jaka przyszła jej do głowy, kiedy czekała w piątkowy wieczór na samolot. Lesley zdjęła jej szwy, nie rozumiejąc, dlaczego Gina nie poprosi o to Struana.

- Wspaniale się spał - oznajmiła. - Kiedy opuchlizna zejdzie, zostanie ci tylko cienka blizna. Dlaczego nie chcesz, żeby obejrzał rezultat swojej pracy?

- Bo nie życzę sobie, by oglądał moje udo w takim stanie

- ze złością odparła Gina. - Poza tym przyznaję, że jest świetnym lekarzem, ale uważam go za aroganta.

- Och, mój Boże. - Lesley uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- A więc jest aż tak źle?

- Nie chodzi o to, o czym myślisz - dodała Gina, a Lesley uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie.

- Oczywiście, kochana. Wierzę ci na słowo.

- Chcesz powiedzieć, że klient ma zawsze rację?

- Coś w tym rodzaju. Tyle że nie wymagam zapłaty. Przecież jesteś naszą nową pracownicą. Baw się dobrze w Melbourne, pozdrów od nas Lloyda i wracaj gotowa do pracy.

Gina kiwnęła głową. Od wypadku Lloyda wszyscy lekarze byli nadmiernie obciążeni obowiązkami.

- Struan nie powinien wyjeżdżać i zostawiać was samych.

- Przepracował w tym tygodniu wszystkie noce - odparła Lesley. - Jest wyczerpany. Musi odpocząć.

Gina nie przypuszczała, by Struan mógł być kiedykolwiek wyczerpany, ale kiedy pojawił się na płycie lotniska tuż przed odlotem samolotu, dostrzegła cienie pod jego oczami. Istotnie wydawał się zmęczony.

- Przychodzisz w ostatniej chwili - powitał go Wayne z pretensją w głosie. W końcu przyznał, że Gina powinna odwiedzić Lloyda, ale nie był zachwycony towarzystwem, w jakim miała odbywać podróż. Odwiózł ją na lotnisko trzy

kwadrans przed odlotem i wypełniał czas, opowiadając jej o swych sukcesach szachowych.

- Jeszcze nigdy nie spóźniłem się na samolot - odparł pogodnie Struan. Potem spojrział z aprobatą na szeroką białą spódnicę i jedwabną bluzkę Giny. - Bardzo ładny strój.

Gina zaczerwieniła się. Żałowała, że z powodu bólu nogi nie mogła jeszcze włożyć dżinsów. Albo zbroi. Albo... pasa cnoty.

- Wsiadajmy - zaproponowała nerwowo.

- Zgoda. - Struan wrzucił swą torbę do luku bagażowego, powitał pilota, którego najwyraźniej od dawna znał, a potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Wayne'a.

- Nie martw się, kolego. Gina będzie pod dobrą opieką. Z pewnością, pomyślała Gina z niechęcią.

Postanowiła zachowywać podczas całego lotu lodowatą uprzejmość, ale Struan pokrzyżował jej plany. Zapiął pas, ziewnął i zasnął. Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy wylądowali w Melbourne.

- Jak ci się leciało? - spytał, a ona zmarszczyła brwi.

- Leciałoby mi się lepiej, gdybyś nie chrapał.

- Ja nigdy nie chrapię - zawołał z udawanym oburzeniem. Potem, ku zdumieniu Giny, zatrzymał przechodzącą stewardesę.  
- Przepraszam, panienko, ale zarzucono mi, że chrapię. Chciałbym wysłuchać opinii kogoś bezstronnego.

- Wcale pan nie chrapał - odparła dziewczyna z czarującym uśmiechem, patrząc mu głęboko w oczy. Potem zerknęła na Ginę, a jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że nie rozumie, jakim cudem tak atrakcyjny mężczyzna wybrał sobie tak niepozorną towarzyszkę podróży. W końcu opuściła wzrok na listę pasażerów i uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Doktor Struan Maitland.

- Czy odwozi pan do Melbourne swoją pacjentkę? - spytała.

- Owszem - odparł z uśmiechem i dodał scenicznym szeptem:

- Biedna dziewczyna cierpi na urojenia. Zdawało jej się, że chrapałem.

Stewardesa roześmiała się i niechętnie poszła dalej.

- Jak śmiesz się tak zachowywać? - spytała Gina.

- Widzę, że nie masz pod ręką wiadra z wodą. - Struan wstał. Samolot opuszczali już ostatni pasażerowie, ale on zatrzymał się w przejściu między fotelami i położył dłoń na jej ramieniu. - Wsiądziesz spokojnie, czy mam poprosić stewardesę o kaftan bezpieczeństwa?

Kiedy opuścili lotnisko, było już za późno na wizytę u Lloyda.

- Pojedziemy do hotelu, wyśpimy się, zjemy śniadanie, a potem odwiedzimy Lloyda - zarządził Struan, zatrzymując taksówkę.

- Gdzie... gdzie będziemy mieszkać? - spytała, siadając możliwie jak najdalej od niego.

- W Baron's Hall.

- W Baron's Hall! - Jej podniesiony głos zamienił się w cieni dyszkant. - Czy wiesz, ile kosztuje tam pokój?

- Ja płacę. Nie martw się. Nie pozwolę, żeby twój ukochany Wayne trwonił ciężko zarobione pieniądze na fanaberie swojej narzeczonej.

- Sama mam zamiar zapłacić za tę podróż - odparła, zaciskając pięści. Struan popatrzył na nią z rozbawieniem.

- No, proszę. Uderz mnie. Miałabyś na to ochotę, prawda?

- Owszem - przyznała z niechęcią - ale tylko pod warunkiem, że byłabym w stanie sprawić ci ból.

Struan przestał się uśmiechać i spojrzał na nią uważnie.

- Och, byłabyś w stanie sprawić mi ból - powiedział cicho.

- Ale chyba nie bardzo wiesz, w jaki sposób.

Chorych leżących na oddziale ortopedii można było odwiedzać od dziesiątej trzydzieści. Gina i Struan przybyli do szpitala w kilka minut później.

Struan wydawał się wypoczęty i odpężony. Miał na sobie sportowe spodnie i kraciastą koszulę, w której jego ramiona wydawały się jeszcze szersze. Gina nie była ani wypoczęta, ani

odprężona. Przez całą noc martwiła się o los Lloyda. Poza tym niepokoiła ją bliskość Struana, który spał w sąsiednim pokoju apartamentu. Zamknęła drzwi na klucz i zastawiła je krzesłem, ale nadal czuła się zagrożona. Próbowwała bezskutecznie myśleć o swym narzeczonym, ale ciągle zadawała sobie pytania dotyczące jej uczuć do Struana.

Zjadła śniadanie w pokoju, by mu pokazać, że nie ma ochoty na jego towarzystwo, ale ku jej irytacji wcale nie usiłował się z nią kontaktować. Na kilka minut przed dziesiątą zatelefonowała do niej hotelowa recepcjonistka.

- Doktor Maitland czeka na panią w recepcji - oznajmiła uprzejmie. - Czy zechce pani zejść na dół?

Może jeszcze mam mu zsalutować! - pomyślała ze złością, która była po części skutkiem napięcia nerwowego. Nie wiedziała, jak przebiegnie wizyta u Lloyda. Co ma powiedzieć chłopakowi, który omal nie zginął w jej obronie?

W końcu wszystko okazało się łatwe. Lloyd leżał w ośmiu-osobowej sali. Wszyscy pacjenci byli podobnie jak on unieruchomieni na wyciągach. Pokój przypominał siłownię albo izbę tortur.

Lloyd miał tę samą chłopięcą twarz, którą tak dobrze zapamiętała, ale w jego jasnych oczach odbijał się ból.

- Proszę, proszę. - Rozpromienił się na widok Struana. - Widzę, że urwałeś się z pracy na kolejny weekend.

Potem dostrzegł Ginę i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A oto dama, którą usiłowałem ratować - szepnął. - Mówili mi, że nie warto było narażać się na skręcenie karku, ale teraz

widzę, że gadali głupstwa. - Z trudem uniósł rękę, by ucisnąć jej dłoń. - Przyprowadź jeszcze kilka smoków. Poradzę sobie z nimi bez trudu.

- Zachowałeś się jak bohater - powiedziała cicho Gina, pochylając się, by pocałować go w policzek. Miała łyzy w oczach. - To był piękny, choć szaleńczy akt odwagi.

- Nie wolno ci płakać. - Lloyd uściśnął jej dłoń trochę silniej.  
 - Struan mówi, że jesteś lekarzem. Wszyscy lekarze, którzy do mnie przychodzą, dodają mi odwagi. Mówią: „Głowa do góry”, albo: „Widzieliśmy gorsze przypadki”, albo: „Niedługo będziesz zdrow jak ryba”. Niedługo... - szepnął drżącym głosem.

- Powiedz mi, jakie są prognozy. - Gina powstrzymała łzy i usiadła na stojącym obok łóżka krześle.

- Więc naprawdę jesteś lekarzem?

- Nie jest prawdziwym lekarzem, tylko pediatrą - mruknął Struan, zaglądając do karty choroby. - Zawsze uważałem, że pediatria jest czymś w rodzaju weterynarza.

- Nie masz prawa tego czytać - zaprotestował Lloyd. - Ta karta zawiera wszystkie najbardziej intymne informacje.

- Nie poinformuję tej damy, kiedy po raz ostatni miałeś wypróżnienie - obiecał Struan z uśmiechem. - Ale pod warunkiem, że powiesz nam, co mówią specjaliści.

Lloyd zawahał się. Znowu opanował go lęk.

- Jest... jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

- Gdyby wiadomości były złe, już byś o tym wiedział. Czy odzyskałeś czucie?

- W lewej nodze. W prawej tylko częściowo. Czuję ją, ale nie mogę nią poruszać.

- Byłbyś głupcem, gdybyś w tej sytuacji próbował.

- To prawda... - Lloyd zerknął na wyciąg. - Ale powinienem poruszać palcami. Powinienem...

- Dopiero wtedy, kiedy zejdzie opuchlizna w miejscu złamania, a to może potrwać kilka miesięcy. Masz złamany kręgosłup, Lloyd.

- Wiem. - Lloyd milczał przez chwilę, jakby usiłując podjąć jakąś decyzję. - Leżę tu i zastanawiam się, czy będę w stanie wykonywać zawód lekarza, jeżdżąc na wózku inwalidzkim. Ortopedzi nie powiedzieli, że mój przypadek jest beznadziejny. Mówią, że istnieje spora szansa stopniowego powrotu do



zdrowia. Ale niewykluczone jest też, że nie będę już nigdy chodził.

- Skrzywił się. - A jeszcze przed dwoma tygodniami myślałem, że jestem nieśmiertelny.

- Jesteś cholernym młodym durniem.

- No cóż, ty coś o tym wiesz, Struan. Jesteś o dziesięć lat starszy ode mnie, a mówisz, jakbyś był stuletnim starcem.

- Złamałem nogę w wieku dwudziestu lat - powiedział Struan niechętnie - i odkryłem gorzką prawdę: że stan naszego organizmu zależy od stanu umysłu.

- W jakich okolicznościach złamałeś nogę? - spytała Gina.

- Latałem na lotni.

- Och, to bardzo rozsądne zajęcie! - Lloyd uśmiechnął się.

- Na sąsiednim łóżku leży facet, który też uprawiał ten sport. Ale on złamał nie nogę, lecz kręgosłup. Ja przynajmniej narażałem się z bardziej sensownych pobudek. - Uniósł rękę i odgarnął włosy, które zasłaniały opatrunek nad okiem Giny. - Choć nie udało mi się go powstrzymać...

- Udało ci się. Wszyscy myśleli, że cię zabił, i uciekli w popłochu. Potem zjawił się obecny tu doktor Maitland i dokończył dzieła. Lloyd, nie wiem, jak mam ci dziękować...

- Wystarczy, że tu jesteś. A poza tym... Struan mówił, że trzymasz dla mnie moją posadę.

- Od poniedziałku - obiecała. - I będę ją dla ciebie trzymać, dopóki nie wrócisz.

- Tak... - W jego nabrzmiałych bólem oczach pojawiła się rezygnacja. - Może już nigdy nie wrócę.

- Korytarze naszego szpitala są wystarczająco szerokie, żeby po nich jeździć wózkiem inwalidzkim - oznajmił Struan.

- Przecież nie mogę być lekarzem, jeżdżąc na wózku.

- Dlaczego?

- Bo... - Lloyd odwrócił twarz. - Boże, Struan, nie mogę o tym myśleć. Nie potrafię...

- Więc nie myśl. - Struan chwycił go mocno za ramię. - Skoncentruj się na palcach u nóg. Stosuj metodę małych kroków. - W otwartych drzwiach pojawiły się dwie pielęgniarki, wiozące pojemnik z gorącą wodą. - Jeśli się nie mylę, nadeszła pora twojej kąpieli. Nie będziemy przeszkadzać tym pięknym dziewczynom, które chcą zadbać o czystość twojego ciała.

- Czy zostajecie na cały weekend?

- Tak. I odwiedzimy cię jeszcze dziś wieczorem. Prawda, doktor Buchanan?

Gina wyraziła zgodę ruchem głowy, a Lloyd spojrział na nią i Struana z żywym zainteresowaniem.

- Ja ją ocaliłem - powiedział. - To chyba niesprawiedliwe, żebyś ty stał się rycerzem jej serca.

- Ocaliłeś ją dla mnie - odparł Struan ze śmiechem. - Któregoś dnia oddam ci połowę mojego królestwa.

Otworzył przed Giną drzwi, zaprowadził ją do szpitalnego bufetu i zamówił mocną kawę. Gina zauważyła, że dłonie, w których trzymał parujący kubek, lekko drżą.

- Może dojdzie do siebie - powiedział łagodnie, jakby czytając w jej myślach. - To sprawa czasu... Znam przypadki, w których rekonwalescencja trwała dwa lata.

Dwa lata? Gina spojrzała na Struana i szybko opuściła wzrok. Dwa lata życia młodego człowieka...

- Ten czas nie musi być stracony - ciągnął Struan. - Jeśli po tym wszystkim stanie na nogi, będzie jednym z najlepszych lekarzy w kraju. Doświadczenie jest idealnym nauczycielem.

- Może jeszcze powiesz, że powinien być wdzięczny losowi?

- Nie. Ale może będzie wdzięczny.

Zapadła cisza. Gina dopiła kawę i odsunęła kubek.

- Muszę wykorzystać pobyt w Melbourne i załatwić kilka spraw - powiedziała. - Czy spotkamy się tutaj?

- Oczywiście. O szóstej po południu. Potem pójdziemy na kolację.

Była zbyt zaskoczona jego natychmiastową zgodą, by protestować w kwestii kolacji. Do szóstej było jeszcze sporo czasu.

- Dobrze. - Wstała z trudem. Chodziła bez kul, więc zaczynała ją boleć noga. Postanowiła załatwić swoje sprawy i wrócić do hotelu. - A więc do zobaczenia.

Wizytówka lekarza, którą znalazła w domu Lisy, spoczywała w jej torebce. Zadzwoiła pod widniejący na niej numer, ale odpowiadano jej obcesowo:

- Pani doktor nie rozmawia o swoich pacjentach przez telefon, a zresztą nikogo o tym nazwisku nie ma w naszej kartotece.

Gina wsiadła więc do taksówki i po chwili znalazła się na szerokiej, wysadzonej drzewami ulicy, oddalonej zaledwie o półtora kilometra od centrum miasta. W ceglane ogrodzenie, okalające solidny dom, wmurowana była niepozorna tabliczka: „Dr Elizabeth Chong, lekarz medycyny”.

To samo nazwisko widniało na wizytówce.

Gabinet mieścił się w niewielkiej przybudówce obok domu. Doktor Chong prowadziła najwyraźniej prywatną praktykę, ale teraz, w sobotni poranek, gabinet był zamknięty i wydawało się, że nikogo nie ma w środku. Gina postanowiła zaryzykować. Otworzyła furtkę i znalazła się na podwórku.

- Czy przyszedł do mojej mamy? Ona dziś nie pracuje. - Czteroletni chłopczyk podjechał do niej na trójkołowym rowerku i zaczął jej się ciekawie przyglądać. - Co ci się stało w buzię?

- Rozcięłam ją - odparła z uśmiechem. - Mam trzy szwy.

- Widziałem kiedyś, jak mama zakłada szwy. To okropne!

Z domu wyjrzała młoda kobieta i ruszyła w ich stronę. Na widok Giny zatrzymała się jak wryta.

- Nie wierzę własnym oczom! - wykrzyknęła.

- Liz! - Gina uśmiechnęła się z radością. Nie widziała Liz Cholmondley od czasu studiów. - Dlaczego tu jest napisane Elizabeth Chong? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Żeby było łatwiej zapamiętać - odparła Liz, ściskając przyjaciółkę. - Wiem, że lekarki rzadko przybierają nazwisko męża, ale w Melbourne jest wielu imigrantów, więc ma to swoje dobre strony. Moi pacjenci są zaskoczeni, kiedy widzą białą i rudowłosą Elizabeth Chong, ale kiedy raz wpadną w moje szpony, rzadko ich tracę.

- Jestem tego pewna.

- Wejdz, napijemy się kawy. - Liz wzięła ją pod rękę. - Czemu zawdzięczam twoją wizytę? I co u ciebie słychać?

- Gina, to chyba beznadziejne - oznajmiła w dziesięć minut później. - Cieszę się, że cię widzę, ale moim zdaniem idziesz fałszywym tropem. Nigdy nie leczyłam żadnej Jenny Gibson. Pozwól, że sprawdzę. - Poszła do gabinetu i zaraz wróciła. - Nie mam nikogo o takim nazwisku.

- Może podała ci fałszywe dane. - Gina wyjęła z torebki fotografię. - Czy ją poznajesz?

Zapadła cisza. Liz przyglądała się zdjęciu tak dokładnie, jakby zapomniała o obecności przyjaciółki. W końcu odłożyła ją na stół. W jej oczach widniał niepokój.

- Kiedy popełniła samobójstwo?

- Dwa tygodnie temu.

Liz oblizała wargi. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Niech to diabli wezmą - powiedziała cicho.

- Wiec ją znałaś?

- Oczywiście, że znałam.

- I widziałaś ją więcej niż jeden raz?

- Po raz pierwszy była u mnie sześć tygodni temu. Przypro wadziła z sobą małą dziewczynkę, tę, która jest na tej fotografii. Powiedziała, że nazywa się Louise Brown. Miała krwotoki. Skierowałam ją do tutejszego szpitala na wszystkie możliwe badania. Traciła na wadze. Wyglądała... Sama nie wiem, Gina. Po prostu miałam niedobre przeczucia.

- I...?

- Nie podała mi numeru telefonu. Powiedziała, że przyjdzie po wyniki za tydzień. Więc kiedy je dostałam, mogłam tylko czekać i mieć nadzieję, że się pokaże.

- I pokazała się?

- Tak. W dwa tygodnie później. Tym razem przyszła bez dziecka. Chciałam zawieźć ją na onkologię, ale ona wzięła te wyniki i powiedziała, że niczego więcej nie potrzebuje.

- Co jej było?

- Chyba się domyślasz. Rak szyjki macicy z przerzutami na wątrobę.

- No tak... - Gina spojrzała na posępną twarz przyjaciółki i chwyciła ją za rękę. - Liz, nie masz sobie nic do zarzucenia.

- Powinnam zażądać, żeby podała mi prawdziwe nazwisko.

- Ludzie mają prawo do zachowania pewnych rzeczy w tajemnicy. Ona załatwiła to na swój sposób.

- Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

- Nie. - Gina potrząsnęła głową. - Córeczka Jenny myśli, że matka porzuciła ją bez powodu, a siostra ma jej za złe, że egoistycznie obarczyła ją opieką nad dzieckiem. Teraz... Siostra może pozostać przy swoim zdaniu, ale Lisa powinna się kiedyś dowiedzieć, że matka nie opuściła jej bez powodu.

- Miała... moim zdaniem, miała przed sobą najwyżej miesiąc życia - wyznała Liz. - W dodatku byłby to straszny miesiąc.

- A ona chciała, żeby Lisa zapamiętała ją jako energiczną, wesołą i troskliwą matkę. Więc może... może postąpiła słusznie?

- Gina wstała. - Muszę już iść. Dziękuję ci, Liz. Dzięki tobie życie tej małej będzie łatwiejsze.

- Tyle przynajmniej udało mi się zrobić - powiedziała Liz z goryczą. - Dlaczego ona wybrała akurat mnie?

- Może z powodu twojego nazwiska. Była wystraszona i zapewne podejrzewała, co jej dolega. Chodziło jej tylko o potwierdzenie. Więc wybrała kogoś, kto nie miałby żadnych kontaktów z miasteczkiem Gundowring. Myślała, że jesteś Chinką.

- O Boże - jęknęła Liz. - Wracam do nazwiska Cholmondley.

Gina pojechała do hotelu i przespała całe popołudnie. Kiedy o piątej zadzwonił budzik, wzięła prysznic, a potem włożyła czarne jedwabne spodnie i czerwoną bluzkę. Wiedziała, że ten strój spodoba się Lloydowi.

I Struanowi.

- Uspokój się - powiedziała do siebie. - Jesteś zaręczona. Twój wybrany zapewni ci szczęście, a w każdym razie poczucie bezpieczeństwa. Więc przestań myśleć o Struanie, bo narazisz się na poważne kłopoty!

Ale nie była w stanie zapanować nad swymi myślami, które wydawały jej się z każdą chwilą coraz bardziej niestosowne.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Gina zjawiała się ponownie w szpitalu, Lloyd spał, a Struana jeszcze nie było. Usiadła przy łóżku i czekała.

Lloyd wyglądał tak młodo, wydawał się taki bezradny... Przypomniała sobie ze smutkiem energicznego młodego człowieka, który zaledwie przed tygodniem pospieszył jej z pomocą. Wtedy był podobny do rozrośniętego szczeniaka, a teraz... teraz jego los wisiał na włosku. Wiedziała dobrze, że nawet jeśli Lloyd dojdzie do siebie, jego życie nie będzie już nigdy wyglądać tak samo. Nie będzie już uważać się za niepokonanego.

I zrobił to dla niej... Zdała sobie sprawę, że ma przed sobą człowieka, który poświęcił się dla jej dobra. Do tej pory jedynym takim człowiekiem był Wayne. Odwiedzał ją co miesiąc, rezygnując... nawet z rozgrywek szachowych, które tak wiele dla niego znaczyły.

Ten chłopiec zaryzykował więcej. Naraził swe życie, choć zdawał sobie sprawę, czym to grozi.

Lloyd poruszył się i otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, a potem uśmiechnął się pogodnie.

- Cześć, Gina - powiedział. - Widzę, że pozbyłaś się opiekuna.

- Kobieta musi się czasem rozerwać - odparła z uśmiechem.

- Czyżby Struan ci tego nie zapewniał?

- Moje towarzystwo nie wydaje jej się atrakcyjne. - Słyszac za plecami głos Struana, omal nie zerwała się z miejsca, ale on położył jej dłoń na ramieniu. - Ona nie lubi rozrywek, jakie mógłbym jej zaproponować. Zresztą oddała już rękę komuś innemu. Jej wybraniec jest Wayne.

- Wayne... - Lloyd zmarszczył brwi, a potem szeroko otworzył oczy. - Chyba nie Wayne Macky?

- Właśnie on. Musiały jej się spodobać jego kamizelki. Ja mogłem poświęcić dla niej brodę, ale uważam, że nie można

wymagać od mężczyzny, żeby chodził w trzyczęściowych garniturach.

- Masz rację - potwierdził Lloyd z przekonaniem. - Właśnie chciałem spytać, co się stało z twoją brodą.

- Została pogrzebana w zeszłym tygodniu. Nie podobała się tej damie.

- Ale... - Lloyd spojrział na nich zdezorientowany. - Czy naprawdę jesteś zaręczona z Wayne'em?

- Owszem. - Rzuciła Struanowi pełne nienawiści spojrzenie, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Więc dlaczego pozbyłeś się brody?

- Jeszcze za niego nie wyszła, a ja czytałem gdzieś, że zwycięstwo należy do odważnych.

Lloyd po raz pierwszy zaczął się śmiać. Widząc, że nie jest już taki chory i bezradny, niemal wybaczyła Struanowi jego bezczelność.

- Jest piętnaście po szóstej - powiedział Struan, zerkając na zegarek. - Wybacz, że się spóźniłem, ale musiałem coś załatwić. Czy zniesiesz dziś obecność jeszcze jednego gościa?

- Oczywiście - odparł Lloyd pogodnie. - Dziś po południu byli u mnie rodzice z bratem, ale ich wizyta mnie nie zmęczyła. Mama siedziała i robiła na drutach, tato oglądał mecz w telewizji, a brat gawędził z pielęgniarkami. Kto ma przyjść?

- Przyjaciel. Greg Mace, który studiował ze mną medycynę. Pomyślałem sobie, że może zechciałbyś... - Zawahał się.

- No, co? - spytał Lloyd, patrząc na niego z uwagą. Struan po raz pierwszy wydawał się speszony.

Drzwi sali otworzyły się. Gina odwróciła głowę. Potężnie zbudowany mężczyzna w swetrze i sztruksowych spodniach zmierzał w kierunku łóżka na wózku inwalidzkim. Miał pogodny wyraz twarzy i od pierwszego wejrzenia budził zaufanie.

- Cześć - powiedział, zatrzymując się przy nich. Potem uśmiechnął się do Struana. - Co zrobiłeś z brodą?



Struan odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Greg - rzekł cicho, z niekłamana sympatią. Podszedł do przybysza i uściskał jego dłoń. - Pozwólcie, że dokonam prezentacji. Doktor Greg Mace... Lloyd... Gina.

Zapadła długa cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Lloyd uświadomił sobie w końcu wymowę sytuacji.

- Lloyd, wiem, że jest jeszcze o wiele za wcześnie - powiedział w końcu Struan - ale dziś rano uświadomiłem sobie, czego się najbardziej boisz. Jesteś lekarzem z powołania i boisz się, że będziesz musiał zrezygnować z zawodu. Wiem, że ci to nie grozi, bez względu na wynik terapii, więc pomyślałem... że w najgorszym razie będziesz w takiej samej sytuacji jak Greg. Wylądujesz na wózku inwalidzkim. Greg miał wypadek samochodowy na ostatnim roku studiów, ale to go nie zmusiło do rezygnacji z zawodu.

Znow zapadła cisza. Co będzie, pomyślała Gina w popłochu, jeśli Lloyd uzna, że chcą pogodzić go z myślą o paraliżu, i wyśle ich do wszystkich diabłów? Zaciśnęła dłonie tak mocno, że poczuła ból.

- A więc uważasz, że powinienem pogodzić się z najgorszymi obawami i żyć dalej? - spytał w końcu Lloyd.

- Coś w tym rodzaju.

Lloyd wziął głęboki oddech, zdobył się na odwagę i uściskał mocno dłoń Grega.

- W takim razie miło mi pana poznać, doktorze. Czy został pan psychiatrą?

- Psychiatrą? - Greg roześmiał się tak donośnie, że ludzie odwiedzający innych pacjentów odwrócili głowy. - Do diabła, nie. Nie umiem słuchać. Zawsze chcę udzielać wszystkim rad. Byłbym fatalnym lekarzem od czubków.

- A więc?

- Jestem lekarzem rodzinnym. Prowadzę intratną praktykę trzydzieści kilometrów stąd. Mam żonę, troje dzieci, dwa psy, dwadzieścia kur i pięć królików. W tej chwili powinienem

pomagać mojemu synowi w naprawie kurnika, ale Struan dał mi znać, że jestem mu potrzebny. - Westchnął. - Wiedziałem więc, że muszę przyjechać, bo inaczej wyciągnie mnie z domu siłą. Struan stosuje delikatne metody i zawsze stawia na swoim.

Lloyd uśmiechnął się z roztargnieniem. Widać było, że gorączkowo o czymś myśli.

- Ma pan praktykę na prowincji? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie umiałbym robić nic innego. Chciałem być wiejskim lekarzem już od ósmego roku życia. Pod wpływem tego wypadku musiałem przemyśleć to i owo, ale jak dotąd nie mam żadnych poważnych problemów.

- Ale... - Lloyd zawahał się. - Przecież nie może pan, na przykład, odbierać porodów, prawda?

- Dlaczego nie? Kiedy dochodzi do porodu kleszczowego, mam trochę kłopotów z hamulcami wózka, ale w razie potrzeby pielęgniarka ciągnie mnie do tyłu.

- Ale...

- Tylko raz miałem prawdziwy kłopot. Składałem wizytę u pewnego staruszka. Wiedziałem, że do jego domu można wjechać na wózku. Jeśli to nie jest możliwe, chorych przywozi karetka. Pacjenci akceptują ten stan rzeczy. Przecież w niektórych rejonach nawet zdrowi lekarze odmawiają składania wizyt domowych. Tak czy owak, wjechałem do domu tego staruszka, a on spojrzał na mnie i umarł na atak serca. Zeskoczyłem z wózka, żeby zrobić mu sztuczne oddychanie, ale nie byłem w stanie mu pomóc; po prostu nadeszła jego pora. Potem w żaden sposób nie mogłem wleźć z powrotem na ten cholerny wózek. Telefon wisiał na ścianie, za wysoko, no i spędziłem kilka godzin w towarzystwie zwłok. W końcu ktoś zauważył, że mnie nie ma, i zaczęli mnie szukać.

- A więc... - Lloyd nadal ze zdumieniem patrzył na wózek Grega. - A więc to panu nie przeszkadza?

- Nie mogę już jeździć na nartach - wyznał Greg. - I rzadko operuję. Robię drobne zabiegi, ale... Zresztą nigdy nie chciałem być chirurgiem.

- Ja też nie chcę być chirurgiem - powiedział Lloyd z uśmiechem. - Przed kilkoma tygodniami asystowałem Struanowi przy operacji wyrostka robaczkowego. Kiedy założyłem szwy, kazał mi pójść na kurs krawiecki. - Spoważniał i spojrzał na Struana. - Skąd wiedziałeś, czego się najbardziej boję?

- Było to widać na kilometr. Ale gdybym ja ci to powiedział, nie chciałbyś słuchać. Więc poprosiłem Grega.

- Przyznaj raczej, że wymogłeś to na mnie - poprawił go przyjaciel. - Czy ty i ta piękna pani wybieracie się na kolację?

- Owszem... - Struan był wyraźnie zbity z tropu. - Później.

- Więc proponuję, żebyście tego nie odkładali. Nie chcę wracać do domu zbyt późno, a Lloyd i ja mamy sporo do omówienia.

- Czyżbyś nas wypraszał?

- Wezwałeś mnie tu, żebym pogadał z Lloydem - przypomniał mu Greg. - Tak, wypraszam was.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Struan, ku zdumieniu Giny, nie ruszył w kierunku wind, tylko oparł się o ścianę i głęboko odetchnął.

- Udało się - powiedziała, widząc, że opuszcza go napięcie.

- Tak. Ale postąpiłem bardzo ryzykownie.

- Zwycięstwo należy do odważnych - powtórzyła Gina, a on odprężył się jeszcze bardziej.

- To prawda. Zapomniałem o tym.

- Nie sądzę, żebyś mógł zapomnieć. Przecież to przekonanie leży w twojej naturze.

- Słyszę w twoim głosie dezaprobatę. Czy uważasz, że nie powinienem był zapraszać Grega?

Gina zawahała się. Gdyby Lloyd uznał, że skazali go już na paraliż... Ale ryzyko się opłaciło. A Struan znał Lloyd'a na tyle dobrze, że mógł je podjąć.

- Nie - odparła z namysłem. - Uważam, że postąpiłeś słusznie.

- Więc mogę się trzymać mojej zasady?

- Nie jestem pewna. - Zauważyła, że Struan uśmiecha się wyzywająco. - To zależy.

- Od tego, czy będę ją stosował w stosunku do ciebie? Owszem, więc miej się na baczności.

- W takim razie... W takim razie chyba wrócę do hotelu.

- Przecież obiecałaś spędzić ze mną wieczór.

- Mieliśmy tylko zjeść kolację.

- Zgoda. Więc zjemy kolację. - Nacisnął przycisk windy i chwycił Ginę za rękę. - Gdybym nie zabrał cię przynajmniej na kolację, ten wyjazd nie miałby sensu.

Drzwi windy otworzyły się. Trzy stojące w niej pielęgniarki spojrzały na nich z żywym zainteresowaniem. Struan uśmiechnął się do nich i wciągnął Ginę do kabiny.

- Oto nasz rydwan - oznajmił z satysfakcją. - Gina, nie mów nic i pozwól zaprosić się na kolację. Nigdy nic nie wiadomo. Może sama będziesz zdziwiona, że wieczór upłynął tak miło.

- Nie mam większych nadziei - odparła chłodno, ale pod wpływem dotyku jego ręki poczuła się nieswojo.

- Trzeba mieć nadzieję. - Struan spojrzał na nią czule. - Trzeba mieć nadzieję, że nasze marzenia się spełnią.

Zabrał ją do Benedicta, chyba najelegantszej restauracji w Melbourne, mieszczącej się w ogromnym, starym budynku. Kiedy taksówka zatrzymała się przed wejściem, Gina z niepokojem wyjrzała przez okno. Nie była dotąd w lokalach przeznaczonych dla ludzi bardzo zamożnych.

- Czyżbyś nie aprobowała mojego wyboru? - spytał Struan żartobliwie, pomagając jej wysiąść z taksówki.

- Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju - odparła, a potem zagryzła wargi. Jej odpowiedź była nieuprzejma. Struan zabrał

ją do Melbourne i chce uprzyjemnić jej pobyt, powinna więc okazać mu wdzięczność.

- A więc staraj się dobrze bawić i nie rób takiej miny, jakbym kazał ci jeść kwaśne śliwki - powiedział, najwyraźniej wyczuwając jej skruchę.

- Ależ... - Była wściekła, że nie potrafi ukryć przed nim swych myśli, ale zdobyła się na uśmiech. - Przepraszam. Po prostu wiem, że to bardzo droga restauracja.

- Przepracowałem w ubiegłym tygodniu co najmniej dziewięćdziesiąt godzin. To samo czeka nas w przyszłym. Tu podadzą nam posiłek, który będziemy wspominali podczas tej pracy. To się opłaca, niezależnie od tego, co myśli Wayne.

- Wayne nie...

- Nie zabrałby cię do takiej restauracji? Nie musisz mi tego mówić. A teraz przestań wyglądać jak abstynentka i baw się dobrze. To jest polecenie służbowe.

- Tak jest, panie doktorze - szepnęła.

I naprawdę dobrze się bawiła. Restauracja zupełnie nie przypominała lokali, do których chodziła z Wayne'em. Spodziewała się wyniosłych kelnerów i niezrozumiałej karty dań, tymczasem uśmiechnięta kierowniczką sali, która powitała ich przy wejściu, wskazała im ustronny, narożny stolik, przejrzała wraz z nimi kartę dań i dyskretnie się oddaliła.

- Suflet z koziego sera... - mruknęła Gina, kiedy kelner przyjął zamówienie i odszedł. - Sama nie mogę uwierzyć, że właśnie to zamówiłam.

- Nie chcesz tego?

- Sama nie wiem. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Mam nadzieję, że będzie mi smakował.

I tak było. Kiedy zjadła tę zakąskę, a potem wspaniałego pieczonego łososia i pyszny tort cytrynowy, doszła do wniosku, że być może Wayne oszukuje samego siebie, nie zdobywając się od czasu do czasu na rozrzutność. Sączyła doskonałe wino, a Struan patrzył na nią jak dobry duszek.

- Czy naprawdę nie możesz wybierać restauracji?  
 - Chodzi po prostu o to, że Wayne...  
 - Jesteś już dużą dziewczynką, Gina - powiedział z uśmiechem. - Niemal dorosłą. Czy musisz jadać tam, gdzie on ci każe?

- Chodzę do restauracji tylko z nim.  
 - Gina, na miłość boską, masz już prawie trzydzieści lat!  
 - Nieprawda! W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia dziewięć.

- A więc czekają nas twoje urodziny. - Wyjął z kubełka butelkę wina Sauternes i napełnił jej kieliszek. - Wszystkiego dobrego! Czy pobierzemy się w dniu twoich urodzin?

- Struan... - Wypiła łyk wina i natychmiast zaczęła tego żałować. Wino, wspaniałe potrawy, dyskretne oświetlenie i panująca tu atmosfera spokoju - wszystko to dziwnie wpływało na stan jej ducha. Była niemal skłonna odpowiedzieć twierdząco. - Struan, dość tych żartów. Jestem zaręczona z Wayne'em.

- Przecież nie masz na palcu pierścionka.

- Bo jeszcze mi go nie dał.

- Więc przyjmij go ode mnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełeczko, obite czarnym aksamitem. Kiedy je otworzył, ujrziała złoty pierścionek z brylantem.

- Ja wcale nie żartuję - powiedział łagodnie. - Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio. Miałem dziś rano trochę wolnego czasu, więc chodziłem po sklepach i kupiłem jedyną rzecz, która mi się spodobała.

Zapadła długa cisza. Pierścionek leżał na aksamitnej wyściółce jak pokusa, jak jabłko przed Ewą. Wystarczyło wyciągnąć rękę, spojrzeć w błyszczące oczy Struana i poddać się.

Ale co będzie dalej? Szczęście? Miłosne uniesienia, jakie przeżywała jej matka z jej ojcem przez sześć krótkich lat?

A potem odszedł i złamał jej serce.

- Nigdy nie wychodź za męża z miłości - zaklinała ją matka podczas ostatnich dni swej choroby. - Przy wyborze męża kieruj się zdrowym rozsądkiem. Dbaj o swój spokój.

Spojrzała na Struana, a on musiał dostrzec jej rozterkę, bo kiwnął głową i zamknął pudełeczko.

- Może nie powinienem jeszcze prosić, żebyś go nosiła - oznajmił - ale on czeka na ciebie. W każdej chwili może być twój.

- Ilu kobietom proponowałeś małżeństwo? - spytała szeptem.

- Trzem - wyznał z uśmiechem. - Gotów jestem odślonić przed tobą moją przeszłość. Pierwszą była Melissa Dodds, koleżanka z przedszkola. Miała najdłuższe warkocze i nosiła najbardziej kolorowe kokardy. Byłem nią oczarowany. Potem, kiedy miałem piętnaście lat, oświadczyłem się mojej nauczycielce biologii. Chyba dlatego postanowiłem zostać lekarzem: żeby spędzać więcej czasu w laboratorium, pod jej opieką.

- A ta trzecia?

- Sara. Z nią było inaczej - powiedział cicho. - Ale wszyscy mamy za sobą jakąś przeszłość. Nawet ty masz swojego Wayne'a.

- To prawda - przyznała chłodno. - Mam Wayne'a. Możesz go lekceważyć, ale on jest dobrym człowiekiem i moim narzeczonym. Zechciej o tym pamiętać. Mam nadzieję, że będziesz mógł zwrócić ten pierścionek albo zatrzymać go dla kandydatki numer pięć. Czy możemy już wrócić do hotelu?

- Za chwilę. - Nie wydawał się rozczarowany. Nadal uśmiechał się do niej czule i serdecznie. - Nie wypilem jeszcze kawy.

A tymczasem... przestań robić taką wystraszoną minę. Wyznałem ci moje intencje, ale nie jestem brutalem. Stanę się natrętny dopiero za jakiś tydzień, a tymczasem powiedz mi, jak spędziłaś dzień.

- Ja... - Starła się odzyskać panowanie nad sobą. Nadal słyszała przyspieszone bicie swego serca i nie mogła oderwać wzroku od jego ciemnych oczu. Postanowiła skoncentrować się na sprawach zawodowych. - Odwiedziłam moją przyjaciółkę z okresu studiów, Elizabeth Chong.

- Mam nadzieję, że to była miła wizyta.

- Nie. - Przypomniała sobie przebieg rozmowy z Liz i jej oczy napęłniły się łzami. - To nie była miła wizyta.

- Czy zechcesz mi powiedzieć dlaczego? Kiwnęła głową i wypila łyk kawy.

- Jenny, matka Lisy, zamówiła sobie przed kilku tygodniami wizytę u Liz i przyjechała do Melbourne.

- I co? - spytał Struan, przestając się uśmiechać.

- Liz wykryła u niej raka szyjki macicy z przerzutami na wątrobę. Operacja była wykluczona.

- Mój Boże... - powiedział Struan. - Dlaczego? Dlaczego pojechała do tej Liz Chong? Czy znała ją wcześniej?

- Wygląda na to, że wybrała ją na chybił trafił z książki telefonicznej. Chciała zapewne znaleźć lekarkę, która nie miałaby żadnych kontaktów z mieszkańcami Gundowring. Podała jej fałszywe nazwisko.

- Więc jak się o tym dowiedziałas?

- Kiedy szukałam fotografii dla Lisy, znalazłam w szufladzie Jenny wizytówkę Liz. Zadzwoiłam pod podany numer. Sekretarka nie знаła nazwiska Jenny, więc pojechałam tam z tym zdjęciem.

- Po co? - spytał Struan. - Na miłość boską, po co?

- Bo Lisa powinna poznać prawdę. Może nie teraz, ale w przyszłości. Kiedy dowie się, że matka wcale jej nie opuściła, że samobójstwo przyspieszyło jej śmierć tylko o kilka tygodni, może to jej przynieść ulgę.

- Chcesz powiedzieć, że nie będzie się czuła odrzucona, tak jak ty?



- Wcale nie czuję się odrzucona. Czy Jenny była twoją pacjentką?

- Tak, ale od lat przychodziła do mnie tylko w sprawie córki. Przed rokiem, kiedy skręciła kostkę, namawiałem ją na rutynowe badania onkologiczne, ale powiedziała, że zacznie je robić po czterdziestce.

- Może jeszcze nie miała objawów - powiedziała łagodnie, słysząc w jego głosie poczucie winy. - Postęp choroby musiał być bardzo szybki.

- Powinienem być się uprzeć. Może udałoby się coś wykryć.

- Nie można zmusić ludzi do regularnych badań. - Gina zawahała się, a potem położyła rękę na jego dłoni. Była zdumiona, że ten człowiek, który zdaje się traktować całe życie jak żart, potrafi mieć wyrzuty sumienia.

- Powinniśmy byli odkryć to podczas sekcji - powiedział z goryczą - ale ona zostawiła list i nie ulegało wątpliwości, że popełniła samobójstwo. Sandra nie chciała się zgodzić na sekcję, a coroner, kiedy poznał fakty, stwierdził, że jest niepotrzebna. Gdyby nie twoja żyłka detektywistyczna, nigdy nie poznalibyśmy prawdy.

- Może to nie jest takie ważne.

- Chyba jest. Postąpiłaś słusznie. Na dłuższą metę uczyni to życie Lisy trochę łatwiejszym. - Uderzył pięścią w stół. - Powinienem być się domyślić. Traciła na wadze. Kiedy ją spytałem o przyczyny, powiedziała, że się odchudza. Poradziłem jej, żeby nie była idiotką. Co za mądra, wspomniała rada!

- Struan, przecież nie możesz siebie za to winić.

- A kogo?

Wkrótce potem wyszli z restauracji i wsiedli do taksówki.

Pogodny nastrój gdzieś się ulotnił. Struan siedział w milczeniu, z posępnym wyrazem twarzy. Nigdy dotąd nie widziała go w stanie takiego przygnębienia. Miała ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć jego dłoni, złagodzić jego ból.

Wjechali windą na czternaste piętro hotelu, nie odzywając się ani słowem. Gina nie mogła wydobyć głosu.

Zatrzymali się przed drzwiami jej pokoju. Struan przekreślił klucz w zamku i odsunął się, by ją przepuścić. Powinna była wejść i zatrzaskać za sobą drzwi, ale nie mogła się na to zdobyć. Minęła go i nie protestowała, kiedy wszedł za nią.

Nie zapaliła światła. Stała w oknie, z którego rozciągał się widok na całe miasto. Zaczęła je otwierać i w tym momencie poczuła na ramionach jego dłonie.

Wiedziała, że Struan cierpi. Mogła ukoić to cierpienie, oddając mu swoje ciało. Nie miała powodu mu tego odmawiać. Struan potrzebował jej, a ona potrzebowała jego. Bardziej niż kogokolwiek w ciągu całego swojego życia.

Od śmierci matki nie potrzebowała w gruncie rzeczy nikogo. Nawet Wayne'a...

Odwróciła się i uniosła do góry głowę. Ten gest symbolizował całkowite poddanie się jego woli. Poddanie się uczuciu, które było tak silne, że nie mogła nad nim dłużej panować.

Struan zdał sobie z tego sprawę. Kiedy ją pocałował, poczuła, że tonie w morzu pożądania. Rozchyliła usta i przytuliła się do Struana mocniej. Po chwili oderwał usta od jej ust, cofnął się o krok i spojrzał w oczy.

- Gina, kochanie...

- Struan... - W jej westchnieniu była tęsknota i nadzieja, że uda jej się przekroczyć barierę bólu i odzyskać ufność, utraconą przed dwudziestu laty.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem westchnął głęboko i przyciągnął ją do siebie. Zapomniała o całym świecie. W jej głowie pozostała już tylko jedna myśl.

- Struan... Ja... nie jestem zabezpieczona.

Spojrzał na nią tak czule, że miała ochotę się rozplakać.

- W takim razie będziesz musiała za mnie wyjść, kochanie. Mogę utrzymać dziecko lub dwoje. Albo sześcioro.

- Nie! - Poczuła lęk i usłyszała głos rozsądku. - Struan...

- Chcesz powiedzieć, że możesz się ze mną kochać, ale nie wyjdiesz za mnie za męża?

- Nie. Tak! Struan, ja sama nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje!

Nastąpiła długa cisza. Potem Struan chwycił ją za rękę i poczuł, że cała drży.

- Więc będę musiał cię przekonać, kochanie. A mogę to zrobić tylko w jeden sposób: zabierając cię do łóżka.

- Ale...

- Ale ty nie jesteś zabezpieczona. Nie martw się; jestem człowiekiem przygotowanym na wszystko.

- Więc... spodziewałaś się tego?

- Powiedzmy raczej, że miałem nadzieję. - Przerwał na chwilę i wziął ją na rękę. - Mężczyzna nie kupuje pierścionka zaręczynowego, jeśli nie ma nadziei. A ona czyni czasem cuda.

Zrobił kilka kroków i położył ją na olbrzymim łożu.

- Spałaś tu ubiegłej nocy sama? - spytał. - Co za marnotrawstwo.

Potem pogłaskał ją delikatnie po twarzy.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? Że nie jest to tylko przygoda, którą chcesz przeżyć przed ślubem z Wayne'em?

- Może... istotnie to tylko przygoda - szepnęła. - Czy miałbyś mi to za złe?

- Jeśli wyjdiesz za Wayne'a, będę ci to miał za złe. - Rozpiął już koszulę, a ona na widok jego nagiej skóry westchnęła. - Ale w tej chwili Wayne nie istnieje. Nie istnieje przeszłość, kochanie. Tej nocy jesteś moja.

Był już zupełnie nagi. Kiedy zaczął rozpinać jej bluzkę, straciła poczucie rzeczywistości.

- Struan - szepnęła. - Och, Struan...

- Kocham cię, Gina. Kocham cię.

Potem przywarła do niego i ich ciała połączyły się w miłosnym uniesieniu. Chciała tego, chciała," żeby tak było zawsze.

Gorączkowo przyciągała go do siebie, a on prowadził ją na szczyty rozkoszy, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Nawet ból - krótkie, ostre ukłucie, którego się spodziewała - był elementem radosnego rytuału. Rytuału przeobrażenia Giny Buchanan w kobietę. W kobietę, która czuła się kochana.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudziła się o świcie. Najpierw poczuła miłe ciepło, a potem zdała sobie sprawę, że spała przytulona do Struana. Otworzyła szeroko oczy. Patrząc na jaśniejące niebo, odparła pierwszy atak przerażenia. Później drugi. Potem nie miała już sił. Zatonęła w kolejnych falach lęku.

Boże! - pomyślała. Co ja zrobiłam?

Odsunęła się od Struana gwałtownie, a on przytulił ją przez sen. Było jej tak dobrze. Przeżyła coś, o czym nigdy nawet nie marzyła, ale przeżyła to z niewłaściwym mężczyzną. Przecież jest zaręczona z Wayne'em...

Tak zawzięcie walczyła o swą niezależność, o to, żeby nic takiego się nie wydarzyło, a potem, w ciągu jednej nocy, zapomniała o wszystkim: o obietnicy złożonej matce, o zobowiązaniach wobec Wayne'a, o wszystkim.

Struan obudził się i przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Dokąd się wybierasz? - spytał sennym głosem.

- Struan, proszę...

Wyczuł w jej głosie lęk i odzyskał pełnię świadomości. Usiadł na łóżku i spytał:

- Co się stało, kochanie?

- Nie jestem twoje kochanie - odparła podniesionym głosem, bliska hysterii. - Struan, ja nie jestem... Nie wiem...

- Nie wiesz, dlaczego pozwoliłaś mi spędzić z sobą noc? - Poglaskał ją po nagich plecach, a ona poczuła dreszcz. - W dodatku byłaś dziewicą - dodał cicho.

- Powinieneś być podwójnie zadowolony.

- Co to ma znaczyć?

- Nie wiem. - Był to szloch rozpaczny. Wyrwała mu się i wstała. Potem zdała sobie sprawę, że jest naga, więc owinęła się prześcieradłem, odkrywając tym samym Struana. - Ja nie chciałam, żebyś spędził ze mną noc.

- Zawodzi cię pamięć. - Obserwował ją czujnie, jakby badając, dokąd się wybiera, chociaż nie mogła się nigdzie wybrać w tym stroju. - Gina, to nie ja spędziłem z tobą ubiegłą noc. Spędziliśmy ją razem. Kochaliśmy się. Ty i ja. Pragnęłaś mnie tak samo jak ja ciebie, więc nie wmawiaj sobie, że cię uwiodłem.

- Ale...

- Wcale cię nie uwiodłem. - Wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona. - Zrobiliśmy to razem. Więc teraz... teraz będziesz musiała spojrzeć Wayne'owi w oczy i powiedzieć mu, że popełniłaś błąd.

- Być może popełniłam błąd - szepnęła - ale nie z Wayne'em. Zapadła długa cisza. Gina zrobiła kilka kroków w stronę łazienki i zatrzymała się.

- Proszę cię - szepnęła. - Struan, musisz dać mi trochę czasu do namysłu. Nie wiem, co robić.

- Może na początek spróbuj mi zaufać.

- Nie mogę. - Przerwała, kładąc dłoń na klawce.

- Dlaczego?

- Bo ty mi zagrażasz. Nie dajesz mi poczucia bezpieczeństwa. Z tobą...

- ...życie byłoby nieprzewidywalne. A nawet fascynujące. Moglibyśmy wiele razem zdziałać, gdybyś tylko zdobyła się na odwagę.

- Ja nie chcę fascynującego życia. Chcę poczucia bezpieczeństwa.

- I myślisz, że Wayne ci je da?

- Będzie mnie kochał.

- Przecież go zdradziłaś - przypomniał jej, zaczynając się ubierać. - Jak wytłumaczysz mu to, co się stało? Czy on liczy na to, że jesteś dziewczicą?

- Nie mogę...

- Nie możesz mu się do tego przyznać? - Struan potrząsnął głową. - Powiem ci coś więcej, Gina. Nie możesz za niego

wyjsć. Nie możesz stłumić swych uczuć. Potrzebujesz mnie tak samo, jak ja potrzebuję ciebie, więc bez względu na to, czy zechcesz zostać moją żoną, czy nie, nie możesz żyć z Wayne'em.

- To będzie zależeć od niego.

- Gina... - Struan, który miał już na sobie spodnie i koszulę, podszedł do niej i chwycił ją za ramiona. - Gina, to, co twoim zdaniem da ci Wayne, możesz znaleźć gdzie indziej. Potrzebujesz kogoś, na kogo będziesz mogła liczyć do końca życia. Kogoś, kto nie będzie ci zagrażał, nie będzie cię zmuszał do robienia tego, czego nie zechcesz robić, i kto nigdy cię nie porzuci. Możesz to wszystko znaleźć we mnie, ale nie wierzysz mi. Nie jestem taki niebezpieczny, jak myślisz, i przekonam cię o tym, choćbym miał sprzedać ten cholerny motocykl. A na razie musisz zastąpić Wayne'a czymś, co ma wszystkie jego zalety. Najlepiej jakimś pluszowym zwierzątkiem, które będzie bardziej czułe i mniej nudne.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- Owszem. Ale jestem zakochany, a na wojnie i w miłości wszystko jest usprawiedliwione. Walczę o ciebie.

Wyszedł do swojego pokoju, by wziąć prysznic, przebrać się i zjeść śniadanie. Wiedział, że ona potrzebuje chwili samotności. Wyglądała jak zaszczute zwierzę, a on nie był człowiekiem okrutnym.

Gina, stojąc pod prysznicem, też doszła do wniosku, że Struan nie jest okrutny. Właściwie sama nie wiedziała, jaki jest.

Potem wymeldowali się z hotelu, odesłali bagaże na lotnisko i spędzili przedpołudnie w szpitalu, gawędząc z Lloydem, który był w znacznie lepszym humorze niż poprzedniego dnia. Właśnie robiono mu masaż, więc widzieli jego bezwładne nogi.

- Jestem pewien, że nie będą już długo bezwładne - oznajmił Lloyd. - To dziwne, ale odkąd pogodziłem się z najgorszym scenariuszem, wydaje mi się on coraz mniej prawdopodobny.

- Czy to Greg pomógł ci pogodzić się z najgorszym? - spytał Struan. Gina siedziała na krześle i usiłowała skupić myśli, ale nie mogła się zmusić do prowadzenia lekkiej rozmowy.

- Jeżeli można to nazwać najgorszym. Greg omówił wszystkie przeszkody, na jakie natrafia sparaliżowany lekarz, i udowodnił mi, że można je pokonać. On od dnia wypadku nie ma czucia od pasa w dół, a ja częściowo odzyskałem już czucie, więc... Moja fizjoterapeutka też dodaje mi otuchy. Mówi, że może to potrwać sześć miesięcy, ale w końcu stanę na nogi.

- To może potrwać nawet dłużej - ostrzegł go Struan.

- No cóż... Jestem na to przygotowany. - Lloyd uśmiechnął się nieśmiało do Giny. - Nie musisz tak długo trzymać dla mnie posady, jeśli nie masz na to ochoty.

- Kiedy ja mam ochotę. - Zaczęła właśnie dochodzić do wniosku, że najlepszym wyjściem byłaby ucieczka z Gundowring. Ale po tym, co Lloyd dla niej zrobił, nie mogła uciec. - Zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

Jedli lunch w szpitalnej kawiarni. Struan proponował, żeby poszli do parku, ale Gina chciała mieć wokół siebie innych ludzi, którzy by ją od niego odgradzali. Samolot odlatywał o czwartej. Mieli przed sobą trzy długie godziny.

- Posłuchaj, mam coś do załatwienia, więc nie chcę siedzieć tutaj i wpatrywać się w polistyrenowe kubki - powiedział w końcu Struan. - Poza tym czuję, że masz ochotę na samotny spacer nad rzeką. Spotkajmy się na lotnisku o wpół do czwartej, zgoda?

Gina poczuła ulgę i spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Masz dość mojego towarzystwa, prawda? - spytał. Potrząsnęła głową, ale nie odezwała się.

- A zatem do widzenia. - Pochylił się i pocałował ją w czoło. - Pomyśl o szczęśliwym pożyciu małżeńskim z kamizelką Wayne'a.

Wyszedł z kawiarni sprężystym krokiem. Wydawał się pogodny i bez troski.



Gruboskórny łobuz, pomyślała Gina. Czy nie widzi, jaka jestem nieszcześliwa.

To nieprawda. Widział i zaproponował jej rozwiązanie problemu, ona jednak nie chciała zostać żoną człowieka, który mógł złamać jej serce.

Zgodnie z jego sugestią, poszła na samotny spacer nad rzeką. Przechadzała się powoli, by nie forsować zranionej nogi. W myślach toczyła z sobą ostrą walkę.

Chcesz wyjść za Wayne'a, bo on nie narazi cię na bolesne przeżycia, a Struan może to zrobić.

Struan nigdy cię umyślnie nie skrzywdzi.

Skąd wiesz? Twoja matka zaryzykowała i przegrała. A ty obiecałaś jej, że nie będziesz tak niemądra.

Więc nie bądź niemądra i uporządkuj swoje życie.

Po tym, co się stało, nie mogę wyjść za Wayne'a. Zawiodłam jego zaufanie i nie mogę tego cofnąć. Zostając jego żoną, postąpiłabym nieuczciwie.

Być może on się tym nie przejmie.

- Przejmie się, kiedy usłyszysz, że spałaś ze Struanem! Powiedziała ostatnie zdanie głośno. Spacerująca nie opodał starsza pani, prowadząca na różowych smyczach dwa pudle, spojrzała na nią ze zdumieniem. Nie zwracając na to uwagi, mówiła dalej:

- Przejmie się tylko tym, że spałaś akurat z nim. Uczucia dla niego nie istnieją, bo ma ich w sobie tyle co zimna ryba!

Roześmiała się na głos. Po raz pierwszy w życiu dostrzegła prawdziwą naturę Wayne'a. Nie był bohaterskim obrońcą, ratującym ją przed obłędem, lecz bezdusznym, skrupulatnym mężczyzną, który dotrzymywał słowa, ponieważ kochał ład i porządek, a poza tym chciał uchodzić za szlachetnego człowieka.

- Och, Wayne... - Zagryzła wargi. - Jak ja ci o tym powiem? Nie mogę ci przecież wyznać, że zakochałam się w Struanie!

Nie musisz mu o tym mówić, odpowiedział jej wewnętrzny głos, podsuwając rozsądne rozwiązanie. Struan Maitland jest takim samym mężczyzną jak twój ojciec. Potrafisz mu się oprzeć, jeśli zachowasz zimną krew. Powiedz Wayne'owi, że popełniłeś błąd, zostań w szpitalu do powrotu Lloyda, a potem wracaj do miasta i otwórz prywatną praktykę. Nie potrzebujesz żadnego mężczyzny. Sama o tym wiesz.

Wiedziała o tym, więc dlaczego widziała swą przyszłość w tak czarnych barwach?

Przyjechała na lotnisko za wcześnie. Doszła do wniosku, że Wayne dobrze ją wyszkolił. Usiadła w poczekalni i usiłowała skupić uwagę na jakimś czasopiśmie, ale po trzech sekundach stwierdziła, że nie obchodzą jej plotki z wyższych sfer ani zasady najnowszej diety. Odrzuciła czasopismo i powróciła myślami do Struana.

Sytuacja była nieznośna. Podczas najbliższych kilku miesięcy Struan Maitland miał być jej współpracownikiem i niczym więcej. Niczym więcej.

Nagle poczuła na karku wilgotny pocałunek. Odwróciła głowę i zobaczyła młodego, może ośmiotygodniowego szczeniaka rasy labrador, który wił się nerwowo w ramionach Struana. Kiedy zwróciła ku niemu twarz, czule polizał ją po nosie.

- Co to? - Wybuchnęła śmiechem, kiedy ruchliwy szczeniak wylądował na jej kolanach. - Och, jaki śliczny!

Pies podskoczył i polizał ją ponownie. Próbowła się zasła niać, ale bez większego powodzenia. W końcu objęła go i spojrzęła na Struana.

- Struan, na miłość boską, czyj jest ten pies?

- Twój.

- Chyba żartujesz!

- Popatrz. - Struan wyciągnął z kieszeni plik papierów. - Oto jego rodowód i dokumenty. Nazywa się Royal. W skrócie Wacky.

- Wacky?

- Tak, bo ma ci zastąpić Wayne'a Macky. Jest o wiele miłszy i bardziej czuły. Kazałem wypisać dokumenty na twoje nazwisko. Właścicielka: Dr Gina Buchanan, Szpital w Gundowring. To brzmi niemal tak oficjalnie jak dowód adopcji.

- Ale ja nie chcę psa!

- Naprawdę? - Struan cofnął się o krok i spojrzał na nią uważnie. - A mnie się wydaje, że tego właśnie ci potrzeba. Kogoś, kto będzie lojalny, wiemy i czuły. Wacky ma wszystkie przymioty Wayne'a, z wyjątkiem kamizelki. Możesz mu kupić kamizelkę, ale boję się, że natychmiast podrze ją na strzępy.

- Och, Struan! - Spojrzała na niego przez łzy. - Struan, na miłość boską...

- Mówiłaś to już - oznajmił uprzejmie. - Musisz starać się być bardziej oryginalna. A teraz posłuchaj. Zadałem sobie wiele trudu, żeby zdobyć tego psa. Odwiedziłem związek kynologiczny i czterech hodowców, zanim go znalazłem. Potem musiałem przekonać jego właściciela, że jestem szlachetnym miłośnikiem psów i mam nieskazitelną opinię. Przed budynkiem stoi samochód do transportu zwierząt. Jeśli go nie chcesz, Wacky wróci do domu i zostanie sprzedany komuś, kto się na nim pozna. Więc zamiast powtarzać: „na miłość boską”, podejmij decyzję. Chcesz go czy nie?

Gina spojrzała na włochatą, małą kulkę, którą trzymała w ramionach, i przypomniała sobie psa, którego musiała zabić tego wieczoru, kiedy poznała Struana.

Skłamała, mówiąc, że nie chce mieć psa. W dzieciństwie wędrowała po rodzinach zastępczych i nie mogła mieć żadnych zwierząt, a podczas studiów i praktyki lekarskiej brakowało jej miejsca i czasu.

- Czy pozwolą mi go trzymać w służbowym mieszkaniu?

- Musisz o to spytać prezesa rady nadzorczej szpitala. - Zasłonił usta dłonią i przybrał poważny wyraz twarzy. - Doktor Buchanan, rozważyliśmy pani prośbę i jeśli zobowiąże się pani pokryć koszt ogrodzenia warzywnika, pozwolimy pani trzymać

to szlachetne zwierzę w służbowym mieszkaniu. Co więcej, przypuszczamy, że pensjonariusze domu starców będą zachwyceni...

- Więc możesz zostać - zwróciła się Gina do psa, ignorując Struana. Potem zrobiła smutną minę. - Ale nie pozwolą mi zabrać go do samolotu.

- Wszystko jest załatwione. W biurze odpraw czeka specjalna klatka. Ale będzie cię to kosztować.

- Nie zapłacisz za nią?

- To twój szczeniak. Dostałaś go ode mnie, ale od tej pory ty będziesz za niego odpowiedzialna, choć tak bardzo starasz się uniknąć wszelkiej odpowiedzialności.

- To nieprawda. Wcale jej nie unikam.

- No dobrze. Może nie, ale boisz się jakiegokolwiek zaangażowania, bo może cię to narazić na ból. Może Wacky cię przekona, że przyjemność warta jest ryzyka.

Wayne czekał na nią przy wyjściu z lotniska w Gundowring. Zauważyła, że nawet w niedzielne popołudnie ma na sobie kamizelkę. Nigdy przedtem tego nie dostrzegła. Był dla niej po prostu Wayne'em. Elementem stabilności.

Struan został w budynku, żeby odebrać bagaże. Wacky, który spędził dwie godziny w klatce, starał się to nadrobić wzmożoną aktywnością. Był uwiązany na smyczy, ale kiedy zbliżył się Wayne, zaczął biegać wokół jej nóg.

- Co ty na miłość boską przywiozłaś?

Wayne był wyraźnie niezadowolony. Zdała sobie z tego sprawę, zanim jeszcze pocałował ją na powitanie w policzek.

- Szczeniaka - odparła z uśmiechem, wyplątując się ze smyczy. - Wabi się Wacky. Czy nie jest cudowny?

- Wacky...

Szczeniak, słysząc swoje imię, oparł się przednimi łapami o nienagannie wyprasowane nogawki jego spodni i chyba nie mógł już opanować dłuższej pilnej potrzeby, bo na lśniące buty Wayne'a pocięła cienka strużka płynu.

- Do jasnej cholery! - Wayne z obrzydzeniem spojrzął na psa i zanim Gina zorientowała się, co zamierza zrobić, kopnął go z całej siły. Wacky przeleciał z metr w powietrzu i skowycząc upadł na ziemię.

- Wacky! - zawołała z przerażeniem Gina i przyklęła obok niego. Szczeniak wspiął się na jej kolana i, straciwszy nagle całą radość życia, spojrzął z lękiem w stronę Wayne'a.

- Jak mogłeś? On ma dopiero osiem tygodni!

- Narobił mi na buty!

- Kopnąłeś go! - Gina obmacywała psa, by sprawdzić, czy nie ma złamanych kości, a ten, popiskując żałośnie, przytulał się do niej z całej siły.

- I zrobię to ponownie, jeśli jeszcze raz zachowa się w taki sposób - oznajmił Wayne ze złością. - Czyj on jest?

- Mój.

Zapadła cisza. Wayne patrzył z oburzeniem na Ginę i szczeniaka. Stanowili dziwny trójkąt.

- Nie chcę mieć w swoim domu psa - oznajmił w końcu. „W moim domu”. Nie „w naszym domu”... Gina zamknęła oczy.

- W takim razie bardzo mi przykro, ale ja mam psa.

- Nie zachowuj się jak idiotka.

- Nie jestem idiotką, Wayne - odparła z gniewem.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem...

- Wayne, jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś, ale myślę... że wdzięczność nie jest dobrym fundamentem małżeństwa.

- Zwłaszcza jeśli zamierzasz trzymać w domu psy. Posłuchaj, oddajmy to zwierzę do schroniska i realizujmy nasze plany. To jest groteskowe.

- Tak - szepnęła. - To jest groteskowe. - Wstała z trudem, przyciskając szczeniaka do piersi. - Cały nasz związek jest groteskowy. Gdybyś kupił mi pierścionek, mogłabym ci go teraz oddać. Skoro nie zrobiłeś tego, więc mogę tylko powiedzieć: żegnaj.

Znów zapadła cisza. W końcu Wayne, potrącony przez przechodzącą staruszkę, odzyskał kontakt z rzeczywistością.

- Czy to twoja ostateczna decyzja? - spytał cicho.

- Tak.

- W takim razie między nami wszystko skończone. Nigdy nie podejrzewałem, że będziesz taka głupia, żeby rezygnować z poczucia bezpieczeństwa dla jakiegoś psa! - Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku parkingu.

- I tak skończył się okres zaręczyn.

Gina odwróciła głowę i ujrzała stojącego o kilka kroków od niej Struana. Nie miała pojęcia, od jak dawna ją obserwował.

- Skrzywdził mojego psa - powiedziała drewnianym głosem. - Mojego szczeniaka. Idę po taksówkę.

- Taksówkarzom wolno wozić psy tylko w bagażniku, w specjalnym kartonowym pudle.

- Mój pies nie będzie jeździł w żadnym bagażniku.

- Nic mu się nie stanie. Psy są odporne. Jak dzieci.

- Gdyby ktoś kopnął moje dziecko, też nie pozwoliłabym go wsadzić do bagażnika. - Westchnęła. - Muszę iść piechotą.

- Do miasta jest półtora kilometra, a ty kulejesz. Podwiozę cię. Gina postanowiła zachować rezerwę wobec Struana, ale wytrzymała w tym postanowieniu tylko dwie minuty.

- Będę ci bardzo wdzięczna - powiedziała chłodno.

- I słusznie - rzucił z uśmiechem i jakby wyczuwając jej opory, poprowadził ją pod rękę w stronę parkingu.

- Gdzie są nasze walizki?

- Wysłałem je taksówką. Jadąc na lotnisko, przywiozłem mój bagaż w przyczepie, ale teraz nie zmieszczę na motocyklu dwóch walizek, dwóch osób i jednego szczeniaka.

- Więc myślisz, że pojedę do miasta na motocyklu? Co zrobimy z psem?

- Jeśli będziesz go trzymać, może jechać w przyczepie.

- Struan, ja nie pojedę. - Ogarnął ją nagły lęk. Nie chciała wsiadać na motocykl z tym mężczyzną.

- Nie mam zamiaru cię zgwałcić - powiedział z rozdrażnieniem. - Chcę cię odwiedzić do domu.

- Ja nigdy...

- Wiem - przerwał jej. - Nigdy nie robiłaś niczego, co wiązało się z odrobiną ryzyka. Całe twoje życie polegało na poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa. Ale bezpieczeństwo ma wiele aspektów, moja droga. To, że pozbyłaś się Wayne'a i że pojedziesz do miasta na motocyklu, nie oznacza rezygnacji z bezpieczeństwa. - Gina milczała, patrząc na lśniący pojazd. - Nie mogę zabrać psa, jeśli ktoś nie będzie go trzymał. Tym kimś musisz być ty. Masz tu kask. Włóż go i przestań się bać. Motocykl daje poczucie wolności.

Jakże mogła cieszyć się poczuciem wolności, tym, że wiatr rozwiewa jej włosy, a szczeniak tuli się do kolan? Była przerażona, choć nie bała się wypadku ani śmierci.

Była przerażona tym, co się z nią dzieje.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zamykając drzwi swego mieszkania za Struanem, poczuła wielką ulgę. Tak wiele wydarzyło się w ciągu tak krótkiego czasu. Choć zgodnie z obietnicą odwiózł ją bezpiecznie do domu, czuła lęk.

Czego właściwie się bała? W gruncie rzeczy nie miała pojęcia. Inni ludzie nie poddawali się tak łatwo lękowi. Być może nie czuli się zagrożeni, bo nie wiedzieli, co oznacza utrata kogoś bliskiego. Ona to przeżyła. Ona i Lisa.

Struan robił teraz obchód szpitala, ale Lisa była pacjentką Giny. Jej jedyną pacjentką.

Wacky odzyskał już humor. Biegał po całym mieszkaniu i obwąchiwał z żywym zainteresowaniem swój nowy dom. Pod wpływem impulsu wzięła go na ręce i poszła na oddział pediatrii.

- Cieszę się, że pani już wróciła, doktor Buchanan - powitała ją w drzwiach pielęgniarka. Potem urwała nagle, widząc Wacky'ego. - Pies...

- Szczeniak. Tak mały, że prawie go nie widać. Jeśli ktoś oskarży siostrę o wpuszczanie zwierząt na teren szpitala, proszę powiedzieć, że wzięła go siostra za mufkę.

- Mufka z mokrym nosem merdająca ogonem? - Pielęgniarka bezradnie rozłożyła ręce. - Ja z pewnością pani nie zatrzymam. Lisa jest naszą jedyną pacjentką, a kontakt z psem może jej dobrze zrobić.

- Czy są jakieś problemy?

- Od pani wyjazdu wcale się nie odzywa. Chodzi sama do toalety, ale nie otwiera ust.

- Nie rozmawia nawet z ciotką?

- Sandra nie przyszła. Powiedziała nam przez telefon, że podczas tego weekendu jest zajęta.

- Niech diabli wezmą tę kobietę.



- Myślę, że bez względu na to, co postanowimy w sprawie Lisy, nie możemy liczyć na pomoc ciotki - powiedziała ze smutkiem pielęgniarka. - Nic z tego nie będzie.

Gina przyznała jej rację i podeszła do łóżka Lisy. Dziewczynka leżała ukryta pod kołdrą.

- Cześć. Żadnej reakcji.

- Lisa, chciałabym, żebyś poznała Wacky'ego.

Cisza wydawała się ogłuszająca. Gina zawahała się, a potem postawiła psa na łóżku.

Lisa nadal nie wysuwała głowy, ale Wacky nie był szczeniakiem, którego można zignorować. Wyczuł czyjaś obecność, pomachał ogonem i zniknął pod kołdrą, szukając zdobyczy.

Po chwili wynurzył się spod niej, trzymając w pyszczku tygrysa, ale najwyraźniej uznał, że prawdziwa zdobycz ukryta jest głębiej, bo ponownie wsunął się do pościeli. Teraz widać było tylko jego ogon.

Nagle w łóżku coś się zakotłowało i nakrycie spadło. Oczy Lisy, choć zaczerwienione od płaczu, były szeroko otwarte. Pies lizał ją z zapalem po twarzy i rękach.

- Och! - krzyknęła z zachwytem Lisa, a Gina, widząc jej radość, uśmiechnęła się z nadzieją. Potem przygarnęła psa, a drugą ręką objęła dziecko.

- Jak ci się podoba mój pies?

- Pani? - Lisa wyciągnęła rękę, żeby Wacky mógł znów ją polizać. Potem boleśnie wykrzywiła twarz. - Och, myślałam, że pani już nie wróci.

- Przecież obiecałam ci, że przyjadę dziś wieczorem.

- Ale ja pani nie wierzyłam.

Gina rozumiała ją. To dziecko zostało niedawno okrutnie oszukane przez osobę dorosłą.

- Tak czy owak wróciłam. - Przytuliła ją mocniej. - Od jutra zaczynam tu pracować, więc pies musi poznać swój nowy dom.

- Dom?

- Tak. Będzie mieszkał razem ze mną obok szpitala.

- I ze mną?

- Tak, dopóki będziesz w szpitalu.

- Ale ja tu nie mieszkam - wymamrotało dziecko, spuszczając oczy.

- To prawda - przyznała Gina. - Ty tu nie mieszkasz. Chciała powiedzieć coś, co dodałoby małej nieco otuchy. Że

rodziny zastępcze są bardzo dobre, że może wszystko się ułożyć...

Wiedziała jednak, że aby oddać ją do rodziny zastępczej, musieliby odnaleźć ojca i uzyskać jego zgodę. Żadne małżeństwo nie przyjmie dziecka, które może być w każdej chwili odebrane. Wiedziała też, że Lisa nawet w najbardziej kochającej rodzinie zastępczej czułaby się obco.

Dziewczynka zsunęła się z jej kolan i ukryła twarz w poduszce, jakby chciała zniknąć wszystkim z oczu. Wacky zdążył polizać ją w nos, ale ona nie miała nawet tyle energii, by go odepchnąć.

Gina szukała gorączkowo wyjścia z sytuacji, ale czuła się coraz bardziej bezradna. Rozejrzała się po sali. Wszystkie pozostałe łóżka były puste. Pielęgniarka, oddzielona od pacjentki szybą, spokojnie czytała książkę. Nic dziwnego, że Lisa czuła się samotna.

W głowie Giny zrodził się nagle pewien pomysł, całkowicie sprzeczny ze wszystkim, czego ją uczono. Uczono ją, że dobry lekarz, nawet jeśli jest przejęty losem pacjenta, zachowuje zawodowy dystans. W takim razie muszę być złym lekarzem, pomyślała i szybkim krokiem podeszła do pielęgniarki.

- Czy Lisa mogłaby zamieszkać u mnie? - spytała.

- Z panią?

- W moim mieszkaniu służbowym. Ona nie czuje się tu dobrze.

- W piątek przychodzą inspektorzy z opieki społecznej - oznajmiła pielęgniarka. - Jej ciotka prosiła, żebyśmy jak najprędzej znaleźli dla niej rodzinę zastępczą.

- Ale to oznacza, że musi spędzić jeszcze co najmniej tydzień w szpitalu. - Gina wyrzała na korytarz. Drzwi jej mieszkania znajdowały się kilka kroków od pokoju pielęgniarek. - Może byśmy ją położyły na kanapie w moim saloniku? To odpowiednie miejsce dla dziecka, które powraca do zdrowia. Będzie mogła oglądać telewizję, przeglądać książki i bawić się z psem.

- A pani będzie się nią zajmować? - Pielęgniarka patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby podejrzewała ją o jakiś atak. Jej też wszczepiono obowiązek zachowania dystansu wobec pacjentów.

- Od jutra pracuję w szpitalu. Jeśli zbudujemy barierę, uniemożliwiającą psu bieganie po salach, możemy zostawić drzwi od mojego mieszkania otwarte. Wtedy będziemy ją mieć na oku, tak samo jak teraz.

- Poczuję się samotna.

- Może, ale będzie mogła brać sobie z lodówki jedzenie lub coś do picia i mierzyć temperaturę wtedy, kiedy sama zechce. Pies dotrzyma jej towarzystwa.

- Nie wiem, co powie na to doktor Maitland - oznajmiła dziewczyna sceptycznie.

- Lisa jest moją pacjentką. - Gina powstrzymała wybuch gniewu i odetchnęła głęboko. - Jeśli zgodzi się siostra zrobić jej badania u mnie, jutro rano... Inaczej nie będę jej mogła stąd zabrać.

- Kiedy pani chce ją zabrać?

- Zaraz.

- W takim razie mogę iść do domu? - spytała pielęgniarka z radosnym uśmiechem. - Może zdążę jeszcze zjeść kolację z mężem i z dziećmi. Mamy dziś rybę z frytkami.

- Gdzie ją kupujecie?

- W barze Steve'a, blisko szpitala. Mają tam najlepsze dania na wynos w całym mieście.

- W takim razie my z Lisą też zjemy rybę z frytkami - powiedziała Gina. - Wszystko się świetnie układa.

Gina i Lisa zjadły więc rybę z frytkami, a Wacky pożarł łakomie pokarm dla psów. Potem siedzieli wszyscy razem na kanapie, oglądając jakiś zabawny film, dopóki Lisa nie zasnęła.

Gina wstała niechętnie, by posprzątać. Zmywając naczynia, pytała samą siebie, co się stało z jej uporządkowanym życiem. Spojrzała w kierunku kanapy i uśmiechnęła się. Co za weekend! Otrzymała propozycję małżeństwa, straciła dziewictwo, pozbyła się narzeczonego i wzięła pod opiekę psa. Oraz dziecko.

Przekonywała samą siebie, że Lisa jest tylko pacjentką, ale wiedziała, że zwykli pacjenci nie budzą w niej takiego instynktu opiekuńczego. Bała się, że przywiązując małą do siebie, wyrządzi jej krzywdę.

- Przecież nie przywiąże się do mnie w ciągu tygodnia - powiedziała głośno.

Już się przywiązała, ostrzegł ją wewnętrzny głos.

Co ja narobiłam? - myślała z niepokojem, patrząc na dziecko i psa. Przecież ta idylla rodzinna nie potrwa długo. Muszę stąd wyjechać, gdy Lloyd wróci. Nie zapuszczę korzeni w Gundowring. Nie wolno mi nawet podejmować takiej próby.

Tok jej myśli zakłóciło pukanie do drzwi. Westchnęła ciężko, bo chciała już iść do łóżka. Otworzyła drzwi i ujrzała Struana.

Cofnęła się o krok. Struan miał na sobie biały kitel.

- Odejdź - powiedziała ostrym tonem. - Idę już spać.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś inaczej.

- Struan...

- Wiem, wiem! - Uniósł ręce w geście kapitulacji. - Chcesz zapomnieć o wczorajszym wieczorze. To nie jest możliwe, kochanie. Ale nie przyszedłem tu po to, żeby znowu nosić cię na rękach. Potrzebuję pomocy.

- Ty potrzebujesz pomocy?

- Wydaje ci się to nieprawdopodobne, ale mówię prawdę. Mam w ambulatorium trzyletniego chłopca. Jego rodzice zadzwonili przed godziną, prosząc o wizytę. Ma czterdzieści stopni gorączki, wymiotuje bez przerwy od czterech godzin i coraz bardziej sztywnieje mu kark. Zanim go przywieźliśmy, dałem mu na wszelki wypadek domięśniowy zastrzyk penicyliny... Ale chciałbym, żebyś go zbadała.

- Myślisz, że to zapalenie opon mózgowych? - Gina natychmiast zapomniała o swych kłopotach i zamieniła się w profesjonalistę.

- Nie jestem pewien. Był przeziębiony, a jego matka mówi, że dziś rano upadł, ale nie można zignorować takiego zespołu objawów.

- To prawda - przyznała Gina.

- Wytłumaczyłem rodzicom, że musimy zrobić punkcję lędźwiową - ciągnął Struan. - Więc jeśli możesz, chodźmy...

Jakby na zawołanie na korytarz wyrzała pielęgniarka.

- Zajmę się Lisą, pani doktor - zapewniła Ginę. - Mam nadzieję, że ta bestia, którą widzieliśmy, nie okaże się groźna.

Gina zerknęła w kierunku kanapy. Lisa i Wacky spali, tuląc się do siebie przez sen. Nie miało to nic wspólnego z zasadami higieny, ale trudno byłoby wymyślić lepszą terapię dla Lisy.

- Musi siostra być ostrożna - powiedziała z uśmiechem. - Proszę zobaczyć, co ta dzika bestia zrobiła z moją skarpetką.

- Wzięłaś Lisę do siebie? - Struan zajrzał do saloniku, a potem uniósł brwi. - Gina...

- Musimy już iść. - Nie miała ochoty dyskutować o plusach i minusach swojej decyzji. Zwłaszcza teraz, kiedy czekało na nią dziecko, być może cierpiące na zapalenie opon mózgowych. - Gdzie on jest?

- W ambulatorium. - Struan z widocznym wysiłkiem odwrócił wzrok od pary leżącej na kanapie i ruszył szybko korytarzem. Gina z trudem za nim nadązała.

- Nie wiedziałam, że masz dziś dyżur.

- Lesley ma dyżur, ale odbiera trudny poród, więc poprosiła mnie, żebym pojechał do tego dziecka.

- Czy jest tam ktoś, kto będzie mógł mi pomóc? - spytała Gina. Punkcja lędźwiowa wymagała udziału dwóch lekarzy lub jednego lekarza i bardzo kompetentnej pielęgniarki.

- Nie. Martin jest na zawodach żużlowych, które musiałyby zostać przerwane, gdybyśmy go wezwali. Przepisy wymagają obecności lekarza. A Rod nie zna dobrze tej metody.

- Więc będziemy to musieli zrobić sami, ty i ja?

- Głównie ty. Zabiegi na trzylatkach należą do pediatrów. Ja będę cię tylko trzymał za rękę.

- Albo tego chłopca - powiedziała.

Chłopiec był bardzo chory. Objawy nie budziły żadnych wątpliwości. Gina często wyśmiewała rodziców, którzy przyprawiali wrzeszczące, wyrywające się dzieci i tłumaczyli, że ich synek lub córeczka cierpią na poważną przypadłość. Gina niepokoiła się najbardziej wtedy, kiedy mali pacjenci zachowywali się cicho.

Tym bardziej zaniepokoił ją stan Jacka, który leżał bezwładnie na kolanach matki, wydając od czasu do czasu żalosne jęki. Nie podniósł nawet głowy, kiedy Gina i Struan weszli do ambulatorium. Widać było, że bardzo cierpi.

- To jest doktor Buchanan, nasz nowy pediatra - powiedział Struan takim tonem, jakby chciał zapewnić rodziców chłopca, że ich syn jest w dobrych rękach. - Jack, nasza nowa pani doktor umie opiekować się małymi chłopcami.

Rodzice Jacka byli oniemiałi z przerażenia. Wyglądali na farmerów; oboje mieli na sobie gumowe buty i robocze kombinezony, jakby choroba chłopca zaskoczyła ich przy pracy.

- Jeszcze w porze obiadu był zupełnie zdrowy - szepnęła kobieta, potwierdzając podejrzenia Giny.

Gina dotknęła czoła chłopca i skrzywiła się.

- Musimy jak najszybciej obniżyć mu temperaturę - powiedziała do stojącej obok pielęgniarki. - Proszę przynieść

mokre ręczniki i przybory do punkcji oraz manometr. - Podniosła wzrok, ale zanim wydała następną komendę, Struan podał jej oftalmoskop. Zerknęła na niego z wdzięcznością i odwróciła się do Jacka.

Pielęgniarka zaczęła się już krzątać, a Gina z ulgą stwierdziła, że jest dość kompetentna. Gdyby nie udało się obniżyć temperatury, Jack mógłby dostać drgawek.

- Ile penicyliny mu dałeś? - spytała Struana, pochylając się, by zajrzeć do oczu małego pacjenta.

- Pół miliona jednostek.

Kiwnęła głową. To powinno na jakiś czas wystarczyć. Ciśnienie wewnątrzczaszkowe wydawało się normalne.

- Zmierz mu jeszcze raz temperaturę, a ja umyję ręce - poleciła Gina, a Struan natychmiast wykonał jej polecenie. Była zaskoczona, że władczy Struan Maitland tak bezdyskusyjnie uznaje jej przywództwo. Ale w medycynie o wszystkim decydowała specjalizacja. Gdyby mieli przed sobą dorosłego pacjenta z atakiem serca, ona wykonywałaby polecenia Struana, a ponieważ mają do czynienia z dzieckiem, Struan gotów był się jej podporządkować.

Dokładnie umyła ręce, pamiętając, że bawiła się z psem. Pielęgniarka czekała z wysterylizowanym kitem.

Struan pomógł matce rozebrać Jacka. Dziecko nie protestowało, kiedy okładali jego rozgrzane ciało chłodnymi ręcznikami.

- Jest ci za gorąco - powiedziała do niego Gina - dlatego źle się czujesz. Te mokre ręczniki dobrze ci zrobią.

- Czterdzieści przecinek sześć - szepnął jej Struan do ucha, a ona skrzywiła się boleśnie. Temperatura wzrastała.

- On drży - wtrąciła matka. - Jest mu zimno.

- Musi mu być zimno - odparła Gina. - Staramy się obniżyć temperaturę.

Wiedziała, że czekający chłopca zabieg będzie jeszcze bardziej przykry, ale musieli go przeprowadzić.

- Proszę go ułożyć w odpowiedniej pozycji, doktorze Maitland - poleciła Gina, zastanawiając się, czy bardziej nieprzyjemne jest trzymanie dziecka, czy też dokonywanie zabiegu. Ale nie ulegało wątpliwości, że to ona musi zrobić punkcję.

Struan delikatnie lecz wprawnie ułożył chłopca na boku, a Gina wciągnęła wysterylizowane rękawiczki. Rodzice Jacka trzymali się za ręce, by dodać sobie otuchy. Gina przemyła skórę dziecka środkiem dezynfekującym i zaczęła szukać odpowiedniego miejsca. Potem zerknęła na rodziców.

- Musimy pobrać odrobinę płynu mózgowo-łędźwiowego z jego kręgosłupa - wyjaśniła im łagodnie. - To potrwa tylko dwie minuty. Czy mogą państwo poczekać na korytarzu?

Mocno zbudowany farmer szybko wyprowadził żonę z sali. Jego twarz była śmiertelnie blada. Gina zdała sobie sprawę, że może mieć za chwilę drugiego pacjenta.

Jack, odwrócony do ściany, nie wiedział nawet, że jego rodzice wyszli. Struan trzymał go mocno, a Gina wyciągnęła rękę po igłę, którą podawała jej pielęgniarka.

Udało się za pierwszym razem. Odetchnęła z ulgą, czując, że igła trafia w odpowiedni punkt. Nawet najlepsi pediatrzy musieli czasem nakłuwać dziecko dwa lub trzy razy, zanim znaleźli miejsce, z którego można pobrać płyn.

Jack nie krzyczał, choć musiał odczuwać ból. Gina zaniepokoiła się. Wiedziała z doświadczenia, że tylko ciężko chore dzieci nie stawiają w tej sytuacji oporu.

Wyciągnęła centralną igłę, pozostawiając zewnętrzną na miejscu. Zmarszczyła brwi, widząc, że wyciekający kroplami płyn jest lekko mętny. Powinien być zupełnie przejrzysty.

Kiedy napełniła trzy małe, mililitrowe probówki, pielęgniarka podała jej manometr. Pomiar ciśnienia również wypadł niepomysłnie.



Zerknęła na Struana i poznała po wyrazie jego twarzy, że wszystkiego się domyśla. Wyciągnęła igłę i przemyła ranke środkiem dezynfekującym, a pielęgniarka zakleiła ją plastrem.

- To wszystko - powiedziała do niej cicho Gina. - Proszę wezwać rodziców, zanim położymy go na plecach.

Pojawiła się tylko matka. Ojciec chorował w toalecie. Kobieta była bardziej odporna, ale po wejściu do sali wybuchnęła płaczem.

- Czy mogę go już ubrać?

- Poczuj się lepiej, jeśli będzie leżał nago - odparł Struan, a Gina wzięła próbówki z płynem i wyszła. Chciała jak najprędzej przekonać się, z czym ma do czynienia.

Bakteryjne zapalenie opon mózgowych...

Jeszcze raz popatrzyła przez mikroskop. Wezwała już Tony'ego, który był laborantem, ale czekając na niego, sama przeprowadziła wstępne badanie. W płynie widoczne były bakterie.

- Cholera... - Podniosła wzrok, bo do pokoju wszedł Tony. - Czy możesz to obejrzyć?

Tony spełnił jej prośbę i również zaklął.

- A więc nie myłę się, prawda?

- Nie. Bakteryjne zapalenie opon. Kto jest pacjentem?

- Jack Messer.

- O Boże - westchnął Tony. - Biedny mały. Przecież on ma dopiero trzy lata.

- Zapalenie opon jest groźne w każdym wieku. Zbadaj poziom protein i glukozy, a potem nastaw próbki na posiew. Wracam do ambulatorium.

Jack został tymczasem przeniesiony na oddział dziecięcy. Leżał tam samotnie, a Gina dziękowała Bogu, że zabrała stamtąd Lisę i uchroniła ją od kontaktu z ciężko chorym chłopcem.

- Zapalenie opon? - spytał Struan.

- Tak. Bakteryjne. - Istniały dwie formy zapalenia opon mózgowych: wirusowe, zazwyczaj mniej groźne, i bakteryjne, na które cierpiął Jack.

- Więc wiemy już, z czym mamy do czynienia. Zaczniemy podawać mu dożylnie płyn i antybiotyki. Siostró, proszę jak najszybciej ustawić stojak do kroplówki. Ile antybiotyku, Gina?

Zerknęła na chłopca. Jeśli czuł się dobrze jeszcze w porze obiadu, to choroba musi postępować bardzo szybko.

- Zastosujmy dawkę uderzeniową. - Struan, słysząc podaną przez nią ilość, unióśł ze zdziwieniem brwi. - Inaczej możemy go nie uratować. Chyba wiesz, że i tak nie jest pewne, czy przeżyje.

Została przy chłopcu do późna w nocy. Niemal przez cały czas był nieprzytomny. Jego matka, która również siedziała przy łóżku, wydawała się zmęczona i bezradna.

Gina sprawdzała kroplówki i ciągle przecierała chłodnymi ręcznikami rozpalone ciało chłopca, chcąc choć trochę obniżyć jego temperaturę.

Struan poszedł na inny oddział, by zająć się pacjentką, która miała wylew. Nie mógł nic więcej zrobić dla Jacka, a obecność dwóch lekarzy spotęgowałaby tylko obawy rodziców.

Gina roztrząsała w myślach wszystkie metody terapii, ale i ona nie mogła zrobić nic więcej. Pozostawało siedzieć i czekać.

Struan wrócił koło drugiej. Wydawał się równie zmęczony jak Gina. Pani Messer spała, opierając głowę o łóżko syna. Gina miała ochotę pójść w jej ślady, ale nie chciała ani na chwilę spuszczać chłopca z oczu. Była zdana na własne siły i miała do pomocy tylko pielęgniarkę. Musiała być na miejscu na wypadek, gdyby chłopiec dostał drgawek.

- Co słysząc? - spytał Struan szeptem, kładąc dłoń na jej ramieniu, a ona podskoczyła gwałtownie. Podeszedł tak cicho, że wcale nie słyszała jego kroków.

- Bez zmian. A twoja pacjentka?

- Umarła dziesięć minut temu, ale miała dziewięćdziesiąt cztery lata i aż do dzisiejszego wieczoru czuła się dobrze. Gdyby przeżyła, byłaby kaleką. Jeszcze wczoraj pracowała w naszym ogrodzie, a dziś odeszła. Sama życzyłaby sobie takiej śmierci.

- Uśmiechnął się, widząc wchodzącą do sali pielęgniarkę. - Gina, to jest Rhonda, to znaczy siostra Rhodes. Do tej pory pomagała mi przy chorej, ale teraz może przejąć opiekę nad Jackiem. Jest wysoko wykwalifikowaną pielęgniarką, a co więcej ma dziś nocny dyżur, czyli w odróżnieniu od nas będzie mogła jutro się wyspać.

Gina spojrzała na chłopca, a potem na Rhondę, która wydała jej się osobą godną zaufania.

- Czy wezwie mnie siostra, gdyby coś się działo?

- Oczywiście.

- A więc do łóżka, doktor Buchanan - polecił Struan. - I to natychmiast.

Odprowadził ją aż do drzwi jej mieszkania. W saloniku paliło się przytłumione światło, Lisa i Wacky spali, a tygrys leżał między nimi.

- Jak na kogoś, kto chce żyć samotnie, masz całkiem sporą rodzinę - zauważył Struan i odsunął wózek, który Gina umieściła w drzwiach, by uniemożliwić psu ucieczkę na korytarz.

- Nigdy nie mówiłam, że chcę żyć samotnie.

- To prawda. Chcesz mieć rodzinę na własnych warunkach. Rodzinę, która nie będzie mogła cię w żaden sposób zranić.

- Spojrzał na dziecko i psa. - No cóż, może ci się to udało, ale czy nie pomyślałaś o tym, że ty możesz zranić ich?

- Co masz na myśli?

- To, że Lisa ciężko przeżyła twój wyjazd. Pielęgniarki opowiadały mi, jak bardzo była przygnębiona. Czy masz prawo stwarzać jej pozory związku, którego nie zamierzasz utrzymać?

Milczała. On ma rację.

- Co powinnam była twoim zdaniem zrobić? - spytała w końcu.

- Zostawić ją tam, gdzie była.

- Czy ty byś tak zrobił?

- Skoro nie masz zamiaru jej zatrzymać, to wykazałabyś więcej serca, pozwalając jej rozwinąć w sobie mechanizmy obronne. Ponieważ ją chronisz przed cierpieniem, będzie dłużej podatna na ból.

- Mechanizmy obronne nie chronią do końca przed bólem.

- Nie. Sama o tym dobrze wiesz, prawda? Ale mogą go złagodzić do tego stopnia, żeby stał się znośny. Człowiek dysponujący mechanizmami obronnymi czuje ból, ale potrafi mimo to stawić czoło światu. Tak jak ty, Gina.

Wiedział. Przejrzał ją na wylot. Jej mechanizmy obronne na nic się nie przydały.

- Będziemy musieli jak najszybciej znaleźć dla niej rodzinę zastępczą.

- Ale...

- Może wybraliśmy się jutro wieczorem do Sandry? Jeśli nadal będzie powtarzać, że nie chce mieć nic wspólnego z Lisą, to może powie nam przynajmniej, gdzie jest jej ojciec. Musimy coś zrobić, zanim do akcji wkroczy opieka społeczna. Jeśli będziemy mieli szczęście, może znajdziemy rodzinę, która zechce ją przygarnąć na dłużej albo nawet zaadoptować.

Myśl o oddaniu dziecka w obce ręce napełniła Ginę nagłym bólem. Spojrzała na śpiącą Lisę i omal się nie rozplakała.

- Dobrze - odparła. - Pojedziemy zobaczyć się z Sandrą. Struan ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Wiem, że postanowiłaś nie narażać się na ból, ale robisz wszystko, żeby nie dotrzymać tej obietnicy. Po prostu masz za dobre serce.

Patrzył na nią w milczeniu przez długą chwilę, a potem pochylił się lekko i pocałował ją w usta.

- Dobranoc, kochanie - powiedział cicho. - Musisz się wyspać. Więc kładź się, ale nie zapominaj o mnie w swoich snach.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gina przewracała się niespokojnie przez całą noc. W snach mieszały jej się wizerunki Lisy, Wacky'ego i małego Jacka, nad wszystkim jednak dominowało ciepłe spojrzenie Struana.

- Dobranoc, kochanie...

Przez cały czas słyszała jego uwodzicielski szept.

Bardzo chciała mu ulec. Tak łatwo byłoby włożyć na palec pierścionek ze wspaniałym brylantem i uwierzyć w jego obietnice. Otworzyć się przed nim do końca i zaufać mu. Ale nie była pewna, czy nie sprawi jej bólu, czy jej nie porzuci, czy nie odjedzie któregoś dnia na swoim przeklętym motocyklu i nie narazi jej na cierpienie, przed którym tak gorliwie usiłowała się uchronić.

Nie zniosłaby tego. Woląca już raczej zostać sama do końca życia. Miała nadzieję, że będzie szczęśliwa z Wayne'em, ale okazało się to niemożliwe. Niemożliwe było posiadanie rodziny, jeśli chciało się unikać zobowiązań.

A więc... rodzinę musi jej zastąpić Wacky.

I Lisa...

Lisa? Co za szaleńczy pomysł. Co ja robię? - spytała samą siebie. Jak może lekarz tak się przejąć losem pacjenta?

Tak, Lisa nadal jest tylko pacjentką. Dzieckiem, które wymaga jej profesjonalnej pomocy, ale które musi pójść własną drogą.

Pamiętaj o tym, upomniała się w myślach. Jutro spotkasz się z Sandrą i zaczniesz załatwiać formalności, związane z rodziną zastępczą. Zachowuj się jak lekarz, a nie jak sentymentalna panienska.

- Ale tak właśnie się czuję - szepnęła do poduszki, zanim zapadła znowu w niespokojny sen. - W gruncie rzeczy czuję się jeszcze młodziej.

Zanim zadzwonił budzik, na jej łóżku wylądowały równocześnie dwie zjawy. Jedna okazała się dzieckiem, druga psem.

- Wacky zrobił siusiu na gazetę - z zachwytem oznajmiła Lisa. - Czy on nie jest mądry, pani doktor?

- Mądry jak Einstein. - Gina przetarła zaspane oczy i spojrzała na zegarek. Szósta trzydzieści. Cztery godziny snu.

- Narobił też na posadzkę w kuchni - wyznała Lisa - ale to było wcześniej. Skrzyczałam go, więc potem poszedł na gazetę.

- A zatem jego tresura jest niemal skończona. Musi się jeszcze tylko nauczyć skakania przez płonące koło.

- Chyba nie powinien się tego uczyć - stwierdziła Lisa, patrząc na nią podejrzliwie. - Może się poparzyć. Co będzie na śniadanie?

Lisa i Wacky podskoczyli równocześnie i spojrzeli na nią z takim podnieceniem, że wybuchnęła śmiechem. Dziewczynka w niczym nie przypominała apatycznego dziecka, które wczoraj przygarnęła.

- Odejdźcie, potwory - poleciała z udawanym oburzeniem. - Lisa, naucz go robić siusiu na trawnik. Zanim podam komukolwiek śniadanie, muszę się wykąpać.

- Wzięliśmy sobie banana - oznajmiła Lisa. - Ja zjadłam moją połowę, a Wacky wypluł swoją. Chciałam po nim posprzątać, ale nie wiedziałam, gdzie jest szczotka.

Gina wybuchnęła śmiechem. Wyobraziła sobie, jak wyglądałoby sprzątanie, i podziękowała losowi za to, że szczotka była schowana.

- Skoro mam sprzątać, to muszę już wstać, bo inaczej spóźnię się do pracy.

- Idzie pani do pracy? - spytała Lisa z niepokojem.

- Pracuje na miejscu, w szpitalu - odparła Gina, przytulając ją do siebie. - Będę tu zaglądać w wolnych chwilach i poproszę pielęgniarkę, żeby obserwowała was przez drzwi. Ale

sprowadziłam cię tu między innymi po to, żebyś opiekowała się Wackym. On przecież nie może zostać sam, prawda?

- Prawda - odparła Lisa z powagą. - Więc chce pani, żebym była jego opiekunką?

- Tak, i to od zaraz. Wyprowadź go na dwór i zostańcie tam, dopóki się nie ubiorę.

Gdy wyszli, wykręciła numer oddziału dziecięcego. Rhonda podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Dlaczego siostra do mnie nie dzwoniła? - spytała, wstrzymując oddech z niepokoju.

- Nie było potrzeby. Stan chorego nie uległ zmianie.

- Temperatura?

- Nadal trzydzieści dziewięć i osiem.

- W porządku. Niedługo przyjdę.

Mam za dużo spraw na głowie, myślała, biorąc prysznic i robiąc potem śniadanie. Za dużo jak na jedną kobietę.

Stała nad łóżkiem Jacka i przyglądała mu się, obejmując palcami jego przegub. Odniosła wrażenie, że tętno jest trochę silniejsze. Chłopiec nadal miał gorączkę, ale nie był już taki blady. Czując dotyk jej palców, otworzył oczy i spojrzał na nią z niepokojem.

- Ja chcę do mamy! - poprosił słabym głosem.

- Twoja mama śpi - powiedziała Gina, udając, że nie dostrzeża Struana, który wszedł właśnie do sali. - Popatrz! - Wskazała dziecku sąsiednie łóżko, na którym spała pani Messer.

Jack był zbyt osłabiony, by się spierać. Przewrócił się na bok, żeby leżeć twarzą w kierunku matki, i zamknął oczy.

- Nie miał wymiotów ani biegunki? - spytała Gina.

- Nie.

- Mocz?

- Dwa razy zmoczył łóżko, niezbyt obficie.

- A więc zawartość płynów w organizmie wraca do normy. Być może... Chyba mamy szansę go uratować.

- Czy nie za wcześnie na diagnozę? - spytała Rhonda.



- Za wcześniej, żeby mieć pewność - przyznała Gina - ale nastąpiła wyraźna poprawa, co przy zagrażających śmiercią przypadkach zapalenia opon zdarza się bardzo rzadko.

- Być może jesteśmy na dobrej drodze, doktor Buchanan.

- Struan podszedł bezszelestnie i położył dłoń na jej ramieniu.

- Jest jeszcze zbyt wcześnie, ale... Dobra robota.

- To ty podałeś mu penicylinę na samym początku. Gdybyś z tym poczekał...

- Nie lubię czekać - powiedział cicho, patrząc jej znacząco w oczy. - Przekonałem się, że jest to niebezpieczna metoda postępowania.

- Ja... Proszę mnie wezwać, kiedy pani Messer się obudzi

- poleciła Gina pielęgniarce, usiłując oderwać wzrok od Struana.

- Chyba mam coś do załatwienia.

- To twój pierwszy dzień pracy - przypomniał jej Struan.

- Przyszedłem tu, żeby zaznajomić cię z zakresem twoich obowiązków.

- Więc zrób to - powiedziała rzeczowym tonem.

Zakres obowiązków nie obejmował niczego, z czym nie umiałyby sobie poradzić. Rutynowe badania pacjentów domu starców, leczenie przypadłości artretycznych, dyżury w ambulatorium i konsultacje telefoniczne z miejscowymi lekarzami, których pacjenci wymagali hospitalizacji.

- Chyba nie będziesz mieć trudności - powiedział Struan.

- Lloydowi zajmowało to cały dzień, bo jest młody i niezbyt pewny siebie, ale ty powinnaś mieć dość czasu na tresurę swego psa.

Gina wątpiła w to, ale okazało się, że Struan miał rację. Była doświadczonym lekarzem i miała naturalny instynkt ułatwiający jej rozpoznawanie ciężkich przypadków. Nie była przyzwyczajona do kontaktów ze starszymi pacjentami, ale nie zapominała jeszcze tego, czego nauczyła się podczas stażu na oddziale chorób wewnętrznych.

Zresztą była zadowolona, że ma dużo pracy. Lubiała czuć się potrzebna. Wykonywała swoje normalne obowiązki i często odwiedzała oddział dziecięcy, na którym leżał mały Jack, a każdą wolną chwilę pochłaniali jej Lisa i Wacky. Pielęgniarki zatrudnione na oddziale dziecięcym nadal traktowały Lisę jak pacjentkę, więc kąpały ją i przynosiły jej zabawki, ale ona czuła się najlepiej w mieszkaniu Giny. A Gina, widząc jak Lisa promienieje na jej widok, zaczęła się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi.

- Zjesz podwieczerek na oddziale - powiedziała do niej po południu, karmiąc psa. - Muszę pojechać do chorego.

- Wolałabym zjeść go z panią - odparła dziewczynka, robiąc smutną minę.

- Wiem - Gina przytuliła ją czule - ale ja jestem lekarzem i muszę pracować. Jeśli czujesz się samotna, możesz wrócić do szpitala.

- Zostanę tutaj - oznajmiła stanowczo Lisa, patrząc na nią z niepokojem. - Zostanę na zawsze, jeśli pani mi pozwoli.

Na zawsze... Gina poczuła się bezradna. Co ja narobiłam? - pytała samą siebie. Zapomniałam o dystansie do pacjentów i pogorszyłam całą sytuację.

Czuła, że nie powinna myśleć tak intensywnie o przyszłości Lisy. Coraz trudniej było jej oddzielić los dziewczynki od własnych bolesnych wspomnień.

Przed wyjazdem do chorego zajrzała ponownie do Jacka. Odwiedzała go co dwadzieścia minut, by sprawdzić poziom płynów w organizmie. Państwo Messer nie odchodzili od łóżka

dziecka. Gina szczerze im współczuła. Wiedziała, jak trudne jest takie czekanie.

Zajrzała do karty choroby, by odczytać ostatni zapis temperatury. Trzydzieści osiem i dziewięć. Po raz pierwszy spadła poniżej trzydziestu dziewięciu stopni. Gina zerknęła na zegarek. Od ostatniego pomiaru upłynęło niemal pół godziny.

- Czy może siostra zmierzyć mu temperaturę? - poprosiła pielęgniarkę.

- Mam to zrobić dopiero za pięć minut - odparła młoda, nieco przesadnie umalowana siostra dyżurna.

- Proszę to zrobić teraz. - Gina westchnęła i postanowiła porozmawiać z nią przy okazji bez świadków. Pielęgniarki miały obowiązek stosować się ściśle do rozkładu zajęć, ale nie wolno im było kwestionować poleceń lekarza.

Dziewczyna niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami i podeszła do łóżka, wyjmując z pokrowca termometr. Miała go właśnie włożyć pod pachę Jacka, kiedy Gina chwyciła ją za rękę. Przy okazji przeczytała wypisane na plakietce imię.

- Nie rób tego z taką złością, Suzanne - powiedziała łagodnie. Potem zdała sobie sprawę z przyczyny irytacji pielęgniarki i zmarszczyła brwi. - Czy kończysz już dyżur?

- Tak - odparła Suzanne wyzywającym tonem. - Następne badania powinna przeprowadzić nowa zmiana.

- Pewnie masz ważne spotkanie i dlatego uważasz dodatkowy pomiar temperatury za stratę czasu, tak? - Gina mówiła cicho, starając się opanować rosnący gniew, ale ci, którzy poznali w przeszłości ten ton, wiedzieliby, że nie wróży on nic dobrego.

- Prawdę mówiąc, mam ważne spotkanie. - Suzanne spojrzała na Ginę z ironią. - Jestem umówiona z Wayne'em... Powiedział mi, że nie jest już z panią zaręczony.

Współczuję ci, pomyślała Gina z ulgą. Skoro Wayne nie traci czasu, to i ona nie ma powodów do wyrzutów sumienia.

- Więc idź, Suzanne - powiedziała do dziewczyny, nie podnosząc oczu. - Ja zrobię za ciebie te badania. Baw się dobrze. I przyjdź do mojego gabinetu jutro o dziewiątej rano. Chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spojrzała na trzymany w rękę termometr.

- Czy chce pani, żebym zmierzyła mu temperaturę? - spytała niepewnie.

- Chcę, żebyś wyszła - odparła Gina. - Twoje miejsce jest gdzie indziej.

Odwróciła się do Jacka i wsunęła mu termometr pod pachę.

- Mój Boże... - Ojciec chłopca zaśmiał się nerwowo. - Cieszę się, że nie jestem w jej skórze.

- Jest jeszcze młoda - odparła Gina z roztargnieniem, mierząc tętno chłopca.

- Ale nie wróci już na oddział dziecięcy - oznajmił Struan, który musiał stać w drzwiach od dłuższej chwili, a teraz podszedł do łóżka i spojrzał na rodziców Jacka. - Proszę się nie martwić. Skoro ma takie podejście do chorego dziecka, znajdziemy kogoś innego. Nie pozwolę na to, żeby w prowadzonym przeze mnie szpitalu traktowano w ten sposób pacjentów. Co nowego? - spytał, patrząc na Ginę.

- Zaraz się przekonamy - odparła - ale chyba ma zdrowszy sen. Struan kiwnął głową. Czekali trzy długie minuty. W końcu

Gina wyjęła termometr spod pachy dziecka. Słupek rtęci potwierdził to, co poczuła, dotykając czoła Jacka.

- Trzydzieści osiem i dwa - oznajmiła z uśmiechem. - Chyba najgorsze mamy za sobą.

- Naprawdę? - Kobieta spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby usłyszała jakiś okrutny żart. Gina pochyliła się nad łóżkiem i wzięła ją za rękę.

- Naprawdę. Nadal jest bardzo chory i na pani miejscu zostałabym przy nim na noc, ale moim zdaniem od jutra będzie mógł już przyjmować płyny.

- To prawda - przytaknął Struan, który mierzył chłopcu tętno.

- Jack dzielnie walczy z chorobą i wszystko wskazuje na to, że ją pokona.

Zostawili państwa Messer przy łóżku dziecka. Tej nocy dyżur miała Rhonda, więc byli pewni, że chłopiec będzie pod dobrą opieką.

- Lesley jest na położniczym z kolejną pacjentką - powiedział Struan. - Poród zapowiada się normalnie, więc gdyby Rhonda

potrzebowała lekarza, natychmiast ją wezwie. Możemy wyjść, bo nikt nawet nie zauważy naszej nieobecności.

A Lisa? A Wacky? - pomyślała Gina. Na miłość boską, gdzie się podziała moja niezależność?

W drodze do domu Sandry siedziała w milczeniu obok Struana, usiłując pogodzić się ze swoją nową sytuacją. Doszła do wniosku, że powinna wyjechać z Gundowring natychmiast po powrocie Lloyda. Ale przedtem musi nakłonić Sandrę do przejęcia opieki nad Lisą lub znaleźć dla dziewczynki odpowiednią rodzinę zastępczą. Nie może brać na siebie odpowiedzialności za przyszłość dziecka.

Zerknęła na Struana. Patrzył uważnie na drogę, pozwalając jej skupić się na własnych problemach. Zdawało się, że czeka... czeka na chwilę, w której sama rzuci mu się na szyję.

Przecież się z nim przespałam, pomyślała ze złością. Czego on jeszcze chce?

Chce się z tobą ożenić, odpowiedział jej natrętnie wewnętrzny głos. Chce, żebyś uległa jego urokowi.

- Proszę, proszę... - Struan patrzył na ulicę. Do restauracji, do której przed kilku dniami Wayne zaprosił Ginę, wchodziła właśnie, trzymając się pod rękę, znana im para. - Można to nazwać szybką zmianą ról.

Suzanne i Wayne. Gina zagryzła wargi, trochę zirytowana niestałością uczuć byłego narzeczonego. Sama zerwała zaręczyny, ale sądziła, że Wayne będzie trochę dłużej udawał rozpacz.

- Czy zwolnimy oboje? - spytał Struan beznamiętnym tonem.

- Nie gadaj głupstw. - Gina spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Oni muszą odejść, ale może powinniśmy trochę poczekać.

Powiem jutro panu Macky, żeby zaczął rozglądać się za nową posadą.

- Nie musisz tego robić ze względu na mnie. Jeśli chodzi o moje zdanie, to Wayne może zostać.

- Nie. - Struan pokręcił głową. - Miałem go powyżej uszu, jeszcze zanim przyjechałaś. Myślałem, że będę musiał go znosić ze względu na ciebie, ale teraz... Teraz niech się wynosi i zabiera z sobą tę swoją nową dziewczynę.

- Chcesz powiedzieć, że chciałeś go zatrzymać ze względu na mnie?

- Owszem - odparł z uśmiechem. - Ponieważ jesteś cholernie dobrym lekarzem i zamierzałaś za niego wyjść, my wszyscy

- lekarze pracujący w tym mieście - doszliśmy do wniosku, że zniemiemy go jeszcze przez jakiś czas. Ale skoro wszystko się zmieniło...

- To dla mnie wielki komplement.

- Zamierzony komplement. Jesteś świetnym lekarzem, Gina.

- Ale wiesz chyba, że ja i tak odejdę? Gdy tylko wróci Lloyd.

- Naprawdę? - spytał.

- Nie mogę tu pracować.

- Z powodu Wayne'a?

- Z powodu ciebie.

- Rozumiem - mruknął, choć jego ton dowodził, że niczego nie rozumie. Potem zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- To wszystko jest bardzo interesujące, ale na razie... Na razie musimy rozmówić się z nieczułą ciotką. Rozwiążmy ten problem, zanim pomyślimy o następnym, zgoda?

Sandra nie była nieczuła. Była wściekła, agresywna i napastliwa. Widać to było od chwili, w której otworzyła drzwi.

- Nie wezmę tego dzieciaka - oznajmiła z furią. - Wiem, że po to tu przyjechaliście. Jenny podstępem zmusiła mnie do tej obietnicy. Nie mam ochoty brać na siebie obowiązków, które ona chciała na mnie zwalić.

- Sandra, czy możemy z tobą przez chwilę porozmawiać? - Struan chwycił ją za rękę, chcąc rozładować choć częściowo jej agresję. - Wiem, że jesteś zła. Ja też byłbym zły, gdybym myślał, że Jenny cię oszukała. Ale ona cię nie oszukała.

- Popęłniła samobójstwo. Była nieuleczalnie chora na raka.

- Raka? Chyba żartujecie.

- Nie, Sandra. Mówimy poważnie.

Najbliższa godzina była bardzo trudna. Sandra, pogrążona w apatii, siedziała przy kuchennym stole, usiłując pogodzić się z tym, o czym jej mówili.

- Dlaczego nic mi nie powiedziała?

Po pewnym czasie znów ogarnął ją gniew. Zachowywała się tak, jakby uważała zatajenie choroby za taki sam dowód nielojalności jak samobójstwo.

W końcu wrócił jej mąż, potężnie zbudowany mężczyzna, którego opuchnięta twarz zdradzała wyraźną skłonność do alkoholu. Stał w drzwiach, wysłuchiwał wszystkiego, co miał mu do powiedzenia Struan, a potem również wybuchnął gniewem.

- Do cholery, co za różnica? - wrzasnął, patrząc z wściekłością na swoją żonę. - Nie chcę mieć w domu jeszcze jednego dzieciaka i koniec.

Sandra zagryzła wargi. Być może złagodniała trochę, usłyszawszy o chorobie siostry, ale różnica nie była zbyt wielka.

- Nie możemy jej wziąć. - Rozłożyła ręce na stole. - Chyba sami to rozumiecie, prawda?

- Owszem - odparł Struan. Widząc tyle niechęci i agresji, doszedł do wniosku, że pobyt Lisy w tym domu mógłby mieć dla niej katastrofalne następstwa. - Rozumiemy to.

- Ale... - Oczy Sandry napełniły się łzami bezsilności. - Ja obiecałam Jenny... Gdybyśmy znaleźli kogoś, kto zechce ją przyjąć... mogłabym do niej czasem wpadać... Żeby się upewnić, że jest jej dobrze.

- To byłoby najlepsze wyjście - przyznał Struan, rzucając Ginie porozumiewawcze spojrzanie. - Ale...

- Ale co?

- Ale w Gundowring nie ma wielu rodzin zastępczych. Byłoby inaczej, gdyby udało się załatwić adopcję. Wiele małżeństw szuka dzieci, które mogłyby uznać za własne.

- Ja nie... - Sandra zacisnęła usta. - My nie zgodzimy się na adopcję.

- Dlaczego?

- No bo... - Zerknęła na męża. - Być może kiedyś, nieco później.

Gina poczuła, że traci nadzieję. To właśnie była sytuacja, której tak bardzo bała się opieka społeczna. Krewni, którzy nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za dziecko, ale nie chcą również zrzec się praw do opieki nad nim. Chcą tylko do niego wpadać.

- A co się dzieje z ojcem Lisy? - spytała.

- Nie wiemy, gdzie on mieszka - odparła Sandra. - Jest Amerykaninem, który przyjechał tu do pracy w jakiejś firmie komputerowej. Kiedy Jenny zaszła w ciążę, zmył się. Powiedział, że ma w Stanach żonę i dzieci i nikt go od tej pory nie widział.

Wspaniale. Na jaką przyszłość może w tych okolicznościach liczyć Lisa?

- Więc nie zgadzacie się na adopcję?

- Przecież jej nie można oddać do adopcji, prawda? - spytała przewrotnym tonem Sandra. - Nie wiadomo, gdzie przebywa jej ojciec, a ja nie pamiętam nawet jego nazwiska. Zresztą, nie zgodziłabym się na to. Co o tym myślisz, Trev?

- Wszystko mi jedno, bylebym ja nie miał z nią nic wspólnego - oświadczył mężczyzna.

Struan wstał. Dalsza rozmowa była bezprzedmiotowa.

- Czy będziesz ją nadal odwiedzać? - spytał Sandrę. - Opieka społeczna przychodzi w piątek, ale do tej pory będzie w szpitalu.

- Nie, przez jakiś czas nie chcę jej widzieć - odparła oschłym tonem. - Po tym, co dowiedziałam się o śmierci Jenny... to byłoby dla mnie zbyt przygnębiające.

- To byłoby dla niej zbyt przygnębiające! - wybuchnęła Gina, gdy tylko wsiedli do samochodu. - Nie pomyślała ani przez



chwilę o tym, co będzie przeżywać Lisa, kiedy oprócz matki straci ciotkę i kuzynów! A w dodatku uniemożliwia nam znalezienie jakiejś rodziny, która przyjąłaby dziecko na dłużej.

- Tego nie możesz być pewna. Musimy znaleźć jej dobrą rodzinę zastępczą.

- Ale jak? Wiesz, że nie znajdziemy jej w Gundowring. Większość takich rodzin mieszka w Melbourne, a w dodatku niechętnie przyjmuje dzieci, których krewni ciągle się do wszystkiego wtrącają. Czy chciałbyś mieć pod opieką takie dziecko w tym miasteczku?

- Mógłbym się na to zgodzić, gdyby ci na tym bardzo zależało.

- Co masz na myśli?

Nie odpowiedział. Zjechał z szosy i zatrzymał samochód na bocznej drodze. Mieli przed sobą zalaną księżycową poświatą powierzchnię morza. Struan odwrócił się do Giny.

- Mam w kieszeni ten pierścionek zaręczynowy - powiedział cicho. - My moglibyśmy wziąć Lisę.

Gina poczuła zawrót głowy. Dotknęła dłonią czoła, jakby chcąc uśmierzyć ból.

- Prosisz mnie o rękę, żeby zapewnić Lisie dom?

- Proszę cię o rękę, bo cię kocham. - Nie poruszył się, ale patrzył na nią swymi ciemnymi oczami, które w srebrnym świetle księżycy wydawały się jeszcze bardziej pociągające. - I nie proponowałbym przygarnięcia Lisy, gdybym się nad tym dobrze nie zastanowił. Myślę, że moglibyśmy założyć rodzinę, ale decyzja należy do ciebie.

Gina poczuła, że oczy napęniają jej się łzami. Nie lubiła płakać. Nie płakała, odkąd...

Tego właśnie starała się uniknąć. Związku z mężczyzną, który potrafiłby doprowadzić ją do płaczu.

- Nie skłanisz mnie do małżeństwa przekupstwem - szepnęła.

- Wcale nie próbuję cię przekupić. Po prostu składam ci propozycję. - Patrzył na nią z miłością, zrozumieniem i...

- Struan, nie wyjdę za ciebie - powiedziała stanowczo, wycierając oczy dłonią. - Wiem, że byłoby to dobre dla Lisy, ale może będę mogła się nią opiekować sama.

- Już to robisz.

- Gdybym pozwoliła sobie cię pokochać... Gdybym za ciebie wyszła, a potem stało się coś złego... Gdybyś odszedł albo umarł, chyba nie potrafiłabym tego znieść.

- Więc uważasz, że nie powinnaś wychodzić za mąż ani pozwalać sobie na uczucie? - spytał ze złością.

- Tak - odparła bezradnie. - Tak uważam. Struan, ja nie zniosłabym następnej przegranej.

- Ale w ten sposób nie możesz też wygrać.

- To prawda. Toteż nie biorę udziału w wyścigu. Stoję z boku. Podjęłam taką decyzję już dawno i nie zdołasz jej zmienić. To niemożliwe. Nie mam odwagi.

- Więc z powodu twojego tchórzostwa ja też mam stać z boku?

- Tak musi być, Struan. Przepraszam cię, ale po prostu nie mogę.

- Nie możesz się zakochać?

- Już to zrobiłam - wyznała bezradnie - ale muszę szybko pokonać to uczucie. Bo nie potrafię go znieść.

- Więc chcesz je w sobie stłumić, zanim się na dobre rozwinie?

- Tak - szepnęła. - Tak właśnie musi być.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W ciągu następnych dwóch dni miała mnóstwo pracy i była z tego bardzo zadowolona. Gdyby nie nawał zajęć, mogłaby oszaleć. Nieustannie czuła w sercu rozpacz.

Tak musi być, powtarzała sobie w kółko. Rozmowa ze Struanem była bolesna, ale dzięki niej twój ból minie.

Wyjęła z walizki wyblakłą fotografię swego ojca. Oglądała też zdjęcie matki, zrobione w rok po odejściu ojca. Te dwie fotografie utwierdzały ją w przekonaniu o słuszności podjętej decyzji.

Rozmawiała ze Struanem, kiedy było to konieczne, ale poza tym unikała go. Traktował ją z chłodną uprzejmością. Widziała, że jest zły i sfrustrowany, ale nic nie mogła na to poradzić. Miała dość własnych zmartwień.

- Każdy, kto się szybko zakocha, może się z tego równie szybko wyleczyć - mówiła do siebie, nie wierząc w to ani przez moment.

Jeśli zdarzyła się jej jakaś wolna chwila, wymyślała sobie zajęcia. Tylko to pozwalało jej zachować psychiczną równowagę.

W środę wyszła wcześniej z pracy, więc wzięła Lisę i psa na plażę. Zjedli tam podwieczorek, który nie poprawił jej samopoczucia, bo wspomnienie o ostatnim pikniku było zbyt żywe. Ale dziecko i pies bawili się na piasku, a Lisa znów była małą, beztroską dziewczynką.

Piątek zbliżał się nieubłaganie. Gina rozważyła wszystkie możliwe warianty i zdała sobie sprawę, że nie zdoła samodzielnie zaopiekować się Lisą. Ukończyła studia dzięki pożyczce z banku i nadal była zadłużona. Nie miała pieniędzy na opiekunkę do dziecka, a sama musiała pracować.

A więc Lisa zostanie oddana w piątek do rodziny zastępczej.

Spojrzała na dziewczynkę chlapiącą się w płytkiej wodzie i próbowała pocieszyć się myślą, że będzie mogła ją odwiedzać.

Tak jak ją odwiedzał Wayne.

Myśl ta jeszcze bardziej ją przygnębiła. Wiedziała, że Lisa będzie jej wdzięczna za wizyty i zdała sobie sprawę, jak ciężkim brzemieniem może być poczucie wdzięczności.

Powoli spakowała naczynia i zawołała Lisę. Kiedy podniosła głowę, dostrzegła na wydmach jakąś samotną postać.

Okolice była pusta. O siódmej wieczorem wszyscy mieszkańcy Gundowring siedzieli przy swych kuchennych stołach i jedli podwieczorek. Tylko Gina, Lisa i Wacky przebywali na plaży.

I ktoś ich obserwował. Jakiś mężczyzna... Stał na tle zachodzącego słońca, więc widziała tylko zarys jego sylwetki, ale poczuła nagły niepokój.

- Lisa, Wacky, idziemy do domu!

- Och, Gina! - Lisa już dawno przestała do niej mówić: „pani doktor”.

- Szybko! - zawołała stanowczo, a Lisa i Wacky, spojrzawszy na nią ze zdziwieniem, posłusznie ruszyli w jej stronę.

- Dlaczego musimy już iść?

- Bo... Bo Wacky jest zmęczony. - Pies, jakby chcąc zaprzeczyć jej słowom, biegał wokół niej jak szalony. Zagryzła wargi, dochodząc do wniosku, że boi się własnych urojeń. Ponownie spojrzała w stronę wydm. Mężczyzna zniknął.

- Idziesz za szybko - poskarżyła się Lisa. - Ja mam krótsze nogi niż ty.

- To prawda, Lisa. - Uśmiechnęła się do niej czule i zwolniła kroku. - Pójdziemy do domu powoli.

Położyła się spać wcześniej. Obserwując na suficie srebrną poświatę księżyca, zastanawiała się, czy reszta jej życia upłynie w stałym lęku. Zaczęła podejrzewać, że jest przewrażliwiona.

Doszła do wniosku, że mężczyzna, którego widziała, był zapewne spokojnym mieszkańcem miasteczka, odbywającym wieczorny spacer po plaży, i że jej reakcja nie miała racjonalnego uzasadnienia.

- Nie boję się o siebie - powiedziała do księżycowej poświaty. Mówiła prawdę. Zawsze bała się tylko o tych, których kochała.

Teraz kochała Lisę, Wacky'ego i... Struana.

- Och do diabła, uspokój się i żyj normalnie! - mruknęła do siebie ze złością. Potem odwróciła się na drugi bok, wtuliła twarz w poduszkę i zakłęła, bo zadzwonił telefon.

Tej nocy nie musiała dyżurować przy telefonie. Jej pacjenci - nawet mały Jack - czuli się dobrze.

Ale była dopiero dziewięta trzydzieści. O tej porze każdy miał prawo do niej dzwonić. Podniosła słuchawkę.

- Gina?

- Lloyd? - Gina rozpoznała znajomy głos i usiadła na łóżku, zapominając o swej irytacji. - Lloyd, cieszę się, że dzwonisz. Czy coś się stało?

- Owszem, coś się stało. Poruszam palcami obu nóg.

- Naprawdę?

- Podczas weekendu wydawało mi się, że odzyskuję władzę w lewej stopie, ale nie byłem tego pewny. Dziś ruch palców był tak wyraźny, że zauważyli go lekarze. A ja odzyskałem czucie w prawej nodze.

- Och, Lloyd, to wspaniale! - Tak szybki powrót czucia wykluczał niemal na pewno groźbę trwałego paraliżu. - Tylko nie forsuj się.

- Dobrze, pani doktor. Będę bardzo ostrożny. Zamierzam zostać wzorowym pacjentem. Wiem, czym grozi nieprzestrzeganie poleceń lekarzy.

- Lloyd, to wspaniała wiadomość. - Gina poczuła ogromną ulgę. Stała myślała o obrażeniach Lloyda i o tym, że naraził się na nie z jej powodu.

- Myślałem, że zechcesz się o tym dowiedzieć. - Urwał, a potem dodał łagodnym tonem: - Domyślałem się, co musiałaś przeżyć.

Gina westchnęła. Ten mężczyzna także potrafi czytać w jej myślach. Czyżby było to takie łatwe?

- Gina, chcę ci powiedzieć coś jeszcze. - Lloyd mówił teraz poważniejszym tonem. - Policja nie chce cię niepokoić, ale moim zdaniem powinnaś o tym wiedzieć. Michael Carter, ten facet, od którego to wszystko się zaczęło, uciekł dziś rano z aresztu.

- Jak to?

- Furgonetka, którą przewożono go do innego więzienia, zderzyła się niegroźnie z jakimś pojazdem. Carter dał nogę i nikt go odtąd nie widział. Gina...

- Słucham? - Poczowała nagle, że ma wyschnięte usta.

- Pewnie go już złapali, ale my dowiemy się o tym na samym końcu. Wiem o tej ucieczce tylko dlatego, że mówiono o niej w wieczornym dzienniku telewizyjnym. Ale pomyślałem sobie... Wiesz, do czego ten człowiek jest zdolny. Nie wychodź ze szpitala, dopóki go nie aresztują. I powiedz o tym Struanowi.

- Oczywiście.

- Słyszałem, że z Wayne'em wszystko skończone - dodał pogodniejszym tonem.

- Kto ci o tym powiedział?

- Mam swoje źródła. Gina...

- Tak?

- Gina, chodzi mi o ciebie i Struana - ciągnął po chwili wahania. - Przypuszczam... Struan telefonuje do mnie co wieczór. Przypuszczam, że ma w stosunku do ciebie poważne zamiary.

- Być może je miał - odparła z goryczą, a Lloyd roześmiał się głośno.

- Nie wiem, jak wyglądają wasze sprawy, ale jestem szczęśliwy, że Struan znowu zaczął się uśmiechać.

- Zaczął się uśmiechać? Co masz na myśli?

- No cóż, od śmierci Sary nie miał wielu powodów do radości. Nie mam pojęcia, co o tym wiesz, ale w miesiąc po ich zaręczynach Sara, prowadząc samochód, wypadła z szosy i zginęła na miejscu. Od tej pory minęły już niemal trzy lata, ale

Struan przez cały czas poruszał się jak we mgle... dopóki nie poznał ciebie. To ty przywróciłaś mu dobry humor.

- Skąd... - Gina nie mogła wydobyć głosu. - Skąd o tym wiesz?

- Wiedzą o tym wszyscy mieszkańcy Gundowring - odparł. - Sara pochodziła z naszego miasteczka, była pielęgniarką. Czy nikt ci o tym nie mówił? Nic o tym nie wiesz?

- Teraz już wiem. - Patrzyła tępo w sufit, przypominając sobie szczegóły rozmowy ze Struanem. Powiedział jej, że oświadczał się trzy razy, a ona nawet nie wyczuła w jego głosie bólu. - Tak, Lloyd, chyba ktoś mi o tym wspominał, aleja byłam zbyt zajęta własnymi sprawami, żeby uważnie słuchać.

- To zrozumiałe - powiedział pocieszającym tonem. - Przeżyłaś dwa trudne tygodnie. Jak twoja noga?

- W porządku. - Musiała skupić uwagę na jego słowach, bo w jej głowie kłębiły się różne myśli. - Posłuchaj, Lloyd, muszę teraz wyjść. Dzięki za telefon. Cieszę się, że zacznasz ruszać palcami.

- Ja też się cieszę. I uważaj na Cartera.

- Co? Ach, tak, będę ostrożna. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę i leżała z otwartymi oczami, myśląc o śmierci narzeczonej Struana. Była tak zaabsorbowana swoim własnym cierpieniem, wynikającym z niezdolności do podjęcia decyzji, że nie interesowała się przeszłością Struana. Uważała go za niebezpiecznego lekkoducha, który chciał natychmiast ją poślubić, nie myśląc o przyszłości. Sądziła, że nigdy nie przeżył dramatu, że nie wie, czym jest ból.

A on stracił narzeczoną. I stracił na trzy lata swój uśmiech.

- Byłam egoistką - szepnęła w ciemności i wiedziała, że ma rację. Myślała tylko o sobie. Bała się ryzyka, a Struan był gotów je podjąć. Wiedział, co oznacza przegrana, a jednak chciał zaryzykować. Prosił ją, by za niego wyszła, a ona odmówiła, bo nie chciała narażać się na ból.

Och, Struan, pomyślała. Tęskniła za nim, czuła się samotnie w łóżku, ale nie umiała podjąć decyzji. Tak łatwo byłoby mu ulec, zapomnieć o przeszłości i mieć nadzieję na lepszą przyszłość.

Ale jak mogła zapomnieć o przeszłości? I skąd miała wziąć odwagę, która byłaby źródłem nadziei?

Tej nocy prawie nie spała. Zdrzemnęła się na chwilę przed świtem, ale miała tak okropne sny, że kiedy Lisa i Wacky wpadli z hałasem do jej pokoju, była im niemal wdzięczna.

Czwartek. Następnego dnia mają przyjechać z Melbourne przedstawiciele opieki społecznej i odebrać jej Lisę.

Nie wiedziała, jak przygotować dziecko na to wydarzenie. Jej wiedza z zakresu pediatrii była bezużyteczna, a ona sama czuła się coraz bardziej bezradna.

Może powinna powiedzieć Struanowi, że za niego wyjdzie.

Dla dobra Lisy? To absurdalne.

Dla twojego własnego dobra, podpowiedział jej głos serca, ale ona potrzęsła głową. Nie chciała słuchać głosu serca.

Chciała się skoncentrować na sprawach Lisy. Wiedziała, że musi jej o wszystkim powiedzieć, ale postanowiła poczekać z tym do wieczora.

Szybko zrobiła śniadanie i wzięła prysznic, ale i tak omal się nie spóźniła. Kończyła się czesać, kiedy zadzwonił telefon.

- W ambulatorium jest jakiś rybak z haczykiem w nodze - oznajmiła dyżurna pielęgniarka. - Czy może pani przyjść?

- Zaraz tam będę. - Gina pocałowała Lisę w czoło, wzięła swój biały kitel, ustawiła drzwi w takiej pozycji, żeby pielęgniarka z oddziału dziecięcego mogła widzieć jej podopiecznych, a potem poszła szybko do ambulatorium.

Noga pacjenta wyglądała okropnie. Doświadczeni rybacy wiedzą, jak należy postępować w takich przypadkach: wystarczy zrobić miejscowe znieczulenie, odciąć czubek haczyka i wyciągnąć go z ciała. Ale ten człowiek był turystą. Złowił barakudę i wciągnął ją na pokład łodzi, a potem pośliznął



się i wbił sobie w łydkę duży, zakrwawiony hak. Próbując go wyjąć, poszarpał okolice rany, a teraz mdłał z bólu.

Gina musiała go znieczulić, by wyjąć haczyk z nogi. Zajęło jej to co najmniej pół godziny. Oczyszczyła ranę, zszyła ją i poprosiła pielęgniarkę, by obserwowała pacjenta jeszcze przez jakiś czas.

- Wpadnę tu za pół godziny, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku - obiecała pechowemu rybakowi. - Ale musi pan leżeć, dopóki nie przestanie pan być tak śmiertelnie blady.

Rybak nie protestował. Stracił całą swoją energię. Gina pomyślała z rozbawieniem, że dzieci o wiele mężniej znoszą takie obrażenia niż dorośli mężczyźni.

Dzieci... Nie robiła jeszcze obchodu, ale postanowiła zajrzeć do Lisy. Dziewczynka spędzała u niej ostatni dzień.

Stała w otwartych drzwiach swego mieszkania i zawołała głośno, ale Lisa nie wybiegła na jej powitanie. Nie było też psa.

- Czy Lisa wyszła na dwór? - spytała pielęgniarkę, która miała dyżur na oddziale dziecięcym.

- Przed pięcioma minutami oglądała telewizję - odparła siostra, podnosząc głowę znad kart informacyjnych. - Może poszła do toalety?

Gina podbiegła do drzwi łazienki i otworzyła je.

- Tu jej nie ma.

- Więc pewnie jest w ogrodzie. - Pielęgniarka zmarszczyła brwi. - Nie zauważyłam, żeby wychodziła.

Gina raz jeszcze zajrzała do swego mieszkania. Na stole, obok włączonego telewizora, leżał nie dojedzony kawałek chleba. I tygrys...

- Lisa! - zawołała głośno, otwierając drzwi do ogrodu. - Lisa! Wacky!

Cisza. Potem usłyszała szczekanie i od strony furtki nadbiegł Wacky.

Zapominając o bolącej nodze, pobiegła w kierunku furtki i wyjrzała na ulicę. O tej porze dzieci zaczynały lekcje, sklepy

były jeszcze zamknięte, a kutry rybackie wypływały w morze. Ulica była pusta.

- Chyba nie wyszłaby sama z domu, prawda? - spytała pielęgniarka słabym głosem.

- Nie sędzę. - Gina zmarszczyła brwi, próbując się skupić. - Ale Wacky był w ogrodzie. Lisa musiała otworzyć mu drzwi, więc...

- Może postanowiła wrócić do domu? - szepnęła siostra.

- Może. Ale nie wzięła tygrysa. - Gina była coraz bardziej zaniepokojona. - Zajrzę jeszcze raz do mieszkania. Potem będę musiała pojechać do domu jej matki. Pewnie spotkam ją po drodze.

- Dzieci bez przerwy robią takie rzeczy - mówiła pielęgniarka, jakby chcąc uspokoić samą siebie. - Mały Ricky Thomas, który był tu przed trzema tygodniami, postanowił któregoś dnia pójść do domu, choć miał złamaną nogę. Muszę wracać na oddział - dodała z przepraszającym uśmiechem.

- Oczywiście - odparła Gina. Wacky popiskiwał u jej stóp. Wzięła go na ręce, ale nie przestał skamleć. Był wyraźnie wystraszony.

Gina wróciła do mieszkania i dokładnie je przeszukała, na wypadek, gdyby Lisa postanowiła zabawić się z nią w chowanego. Zajrzała pod łóżka i do szaf. Chciała właśnie powtórzyć inspekcję, kiedy zadzwonił telefon.

- Doktor Gina Buchanan?

Zesztywniała, zbladła jak ściana i musiała oprzeć się o stół, by nie stracić równowagi. Znała ten głos.

- Tak - szepnęła.

- A więc poznajesz mnie? - Mężczyzna był wyraźnie zadowolony. - Cieszę się, że wywarłem na tobie tak silne wrażenie podczas naszego krótkiego spotkania.

Michael Carter. Najgorszy koszmar z jej snów.

- Czego... czego pan chce?

- Zabiłaś mojego psa. - Mówił tak spokojnym, beznamiętnym tonem, jakby rozmawiał o pogodzie.

- Musiałam to zrobić.

- No dobrze - mruknął. - Postanowiłem ci się zrewanżować, ty dziwko. Ty zabiłaś mojego psa, ja mam twojego dzieciaka.

Gina poczuła, że uginają się pod nią kolana. Opadła bezwładnie na łóżko. Przypomniała sobie mężczyznę, którego widziała na plaży. To musiał być on. Pewnie pomyślał...

- Niech pan nie robi jej krzywdy.

- Zrobię jej krzywdę z największą przyjemnością - odparł bez ogródek - chyba że zgodzisz się na moją propozycję. Jestem skłonny podjąć negocjacje.

- Jakie negocjacje? - Nie miała pojęcia, jak z nim rozmawiać.

- Czego pan chce?

- Chcę ciebie, złotko. Czeka mnie długi pobyt w kryminale i wiem, że go nie uniknę. Nie można uciekać w nieskończoność. Chcę, żeby mi się to opłaciło.

- Więc...

- Więc bądź za pół godziny na platformie widokowej w tym samym miejscu, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Musimy odnowić naszą znajomość. A jeśli się nie zjawisz, zrobię z tą małą to, co chciałem zrobić z tobą, zanim wtrącił się ten cholerny ...

- Proszę jej nie robić nic złego! Błagam...

- Więc przyjedź tu. Za pół godziny. Jeśli zamiast ciebie zjawi się ktoś inny, jakiś policjant albo coś w tym rodzaju, mała zginie. Siedzę za usiłowanie zabójstwa, więc jeśli ją zabiję, to i tak nie dostanę wyższego wyroku. Nie mam nic do stracenia, więc przyjedź.

- Ale...

- Nie bój się, nie mam zamiaru cię zabić - powiedział cicho, z sadystyczną satysfakcją. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Carter usiłuje dodać jej odwagi. - Nie zrobiłbym tego dziewczynie, która wygląda tak ładnie jak ty, choć z pewnością

na to zasługujesz. Dobra, zabiłaś mojego psa, więc przyjmę rekompensatę w naturze. Chcę tego samego, czego chciałem na początku.

- Chce pan mnie zgwałcić?

- Nie używaj takich brzydkich słów, ślicznotko. Jeśli zrobię wszystko za twoją zgodą, nie będzie mowy o gwałcie. A jeśli nie wyrazisz zgody... tak, wtedy będę zmuszony kogoś zabić. Ciebie albo tego dzieciaka. Ale nie będziesz chyba taka głupia...

- Ja...

- Dostyc tego gadania - przerwał jej szorstko. - Przyjeżdżaj tu. Szybko. I jeszcze jedno.

- Tak?

- Będę siedział na barierze nad przepaścią. Z dzieckiem na kolanach. Więc nie próbuj żadnych sztuczek.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Carter przerwał połączenie. W słuchawce rozległ się sygnał, a Gina usiadła na łóżku i bezskutecznie usiłowała skupić myśli.

Musiała jechać. Poznała Micka na tyle, by wiedzieć, że to jedyna szansa dla Lisy. Jeśli nie spełni jego żądania, zabije dziewczynkę bez skrupułów, o ile jeszcze tego nie zrobił.

Nie potrafiła o tym nawet myśleć. Z trudem wstała, zmuszając się do koncentracji.

- Doktor Buchanan?

Głos dochodził ze słuchawki, którą nadal trzymała w ręku. Podniosła ją do ucha.

- Słucham?

- Mówi Maggie z centrali telefonicznej. - Dziewczyna oddychała szybko, jakby i ona była przerażona. - Wiem, że nie powinnam tego robić, ale ten mężczyzna, który prosił o połączenie z panią, odzywał się wulgarnie, więc podsłuchiwałam. Słyszałam całą rozmowę. Czy mam wezwać policję?

- Nie! - zawołała Gina ze strachem. Wiedziała, że Carter zabije Lisę, jeśli zobaczy umundurowanych funkcjonariuszy.

- Ale przecież pani nie może tam jechać! - Dziewczyna jękała się z przerażenia. - Doktor Buchanan, on panią zabije!

- A jeśli nie pojedę, zabije Lisę.

Gina zerknęła na zegarek. Wiedziała, że droga zajmie jej dwadzieścia minut. Nie chciała się spóźnić.

- Doktor Buchanan, ja muszę komuś o tym powiedzieć! - Maggie podniosła głos. - Nie mogę siedzieć tu bezczynnie, kiedy pani pojedzie na spotkanie z tym...

Gina gorączkowo szukała w myślach jakiegoś wyjścia, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Struan... Struan zna miejscowych policjantów. Wie, jak ich przekonać, żeby nie przypuszczali zmasowanego ataku na

wzgórze i nie narażali życia Lisy. Nie miała jednak czasu go szukać.

- Zadzwoń do doktora Maitlanda - szepnęła do słuchawki. - Powiedz mu.

Telefonistka odetchnęła z ulgą.

- Tak. On będzie wiedział, co zrobić. Zaraz zacznę go szukać. Chyba pojechał do pacjenta.

- Znajdź go jak najszybciej, Maggie. Powiedz mu wszystko. Ja nie mogę czekać. Powiedz mu, że tam pojechałam.

Na platformie widokowej znalazła się po upływie ponad dwudziestu minut. Prowadziła samochód trochę szybciej, niż powinna, a jakieś pięć cennych minut zabrał jej pewien pasterz, który przepędzał swoje krowy przez drogę u podnóża góry. Michael Carter siedział na barierze nad przepaścią i czekał. Wyglądał jak człowiek, który przyjechał tu, by podziwiać widoki. Jedną ręką obejmował Lisę, ale Gina wiedziała, że nie robi tego po to, by ją uchronić przed upadkiem w dół.

Zatrzymała samochód o kilka metrów od przepaści i powoli wysiadła. Nie miała pojęcia, co robić.

- Lisa!

Lisa spojrzała na nią i krzyknęła rozpaczliwie. Carter przycisnął ją do siebie.

- Nigdzie nie pójdziesz, moja mała. - Uniósł wolną rękę, a Gina zobaczyła, że trzyma wycelowany w nią rewolwer.

Nie przewidziała takiej ewentualności. Myślała tylko o losie Lisy. Dziewczynka miała szeroko otwarte oczy i nie rozumiała, dlaczego Gina nie uwolni jej od tego koszmarnego, brudnego, nie ogolonego mężczyzny. Ale Gina patrzyła bezradnie w wylot lufy rewolweru.

- Proszę ją puścić - wykrztusiła z trudem. - Przyjechałam.

- Istotnie. - Spojrzał z zadowoleniem na jej biały kitel. - Więc naprawdę jesteś lekarzem?

- Jestem - odparła, siłąc się na spokój. - A ty nie skrzywdzisz ani mnie, ani Lisy. Nie zrobiliśmy ci nic złego.

- Zabiłaś mojego psa.  
 - Wiem i żałuję tego, ale nie miałam wyboru. Przykro mi.  
 - Nie wątpię. - Splunął pod nogi, a potem podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. - Niedługo będzie ci jeszcze bardziej przykro.

- Ze mną możesz zrobić, co zechcesz, ale wypuść dziecko.

- Zdejmij ten kitel.

- Co?

- Zdejmij go! - Widząc, że nadal stoi bez ruchu, opuścił rewolwer i strzelił jeden raz w ziemię, tuż obok jej stóp. Poczula na kostkach uderzenia żwiru rozrzuconego przez kulę i odruchowo cofnęła się o krok.

- Zbliź się do samochodu, to zrzucę tego dzieciaka w dół!

- Mick panował nad sytuacją i rozkoszował się poczuciem siły.

- Zdejmij ten kitel.

Nie miała wyboru. Patrząc bezradnie w wylot lufy, zdjęła kitel i upuściła go na ziemię. Mick obserwował jej upokorzenie z sadystyczną radością.

- Żadna bluzka - powiedział w końcu. - Zdejmij ją.

- Najpierw wypuść Lisę.

Wystrzelił ponownie. Tym razem kula niemal musnęła jej stopy. Lisa krzyknęła głośno i chciała się wyrwać, ale przytrzymał ją.

- Bluzka, ty dziwko! Jeśli będę musiał powtórzyć następne polecenie, strzelę ci prosto w nogi. Mogę zrobić z tobą, co zechcę, nawet jeśli będziesz miała strzaskane kostki.

Gina spojrzała w oczy Lisy i dostrzegła w nich oprócz lęku przebłysk nadziei. Dziewczynka nadal wierzyła, że Gina w jakiś sposób odsunie od nich niebezpieczeństwo.

Zastanawiała się, czy Maggie znalazła Struana, mimo że wiedziała, że on i tak nic nie mógłby zrobić. Powoli, starając się zyskać na czasie, rozpięła bluzkę i położyła ją obok kitla. Teraz miała na sobie tylko spódnice i cienki koronkowy stanik.

- Bardzo dobrze - mruknął z zadowoleniem. - Co teraz? Nie mamy wielkiego wyboru, więc niech będzie biustonosz. Pospiesz się, panienko!

Zaczęła rozpinać zamek i nagle zastygła w bezruchu. Mick zaklął wściekle i nie wypuszczając z rąk Lisy, spadł z bariery w kierunku przepaści, jakby ktoś pociągnął go od tyłu.

Gina usłyszała wulgarne przekleństwo, odgłos strzału i okrzyk bólu. Nie wiedziała, kto krzyczy, widziała tylko wiszącą nad przepaścią Lisę, którą Mick nadal obejmował ramieniem.

Rzuciła się w jej kierunku. W tym momencie Mick puścił dziecko, by odepchnąć ręce człowieka, który wspiał się na urwisko i zaatakował go od tyłu.

Gina podbiegła do Lisy, zanim dziewczynka straciła równowagę. Chwyciła ją w ramiona i przytuliła do piersi, płacząc ze strachu.

W tym momencie dostrzegła Struana, który stał na skalnej półce, tuż za barierą, i usiłował ściągnąć Micka w dół. Zauważyła też policjanta, który miał w ręku pistolet.

Rozległ się następny strzał. Gina zadrżała z przerażenia i przytuliła Lisę jeszcze mocniej. Nie widziała przebiegu walki, toczącej się poniżej krawędzi urwiska, na pochyłej skalnej półce.

- Poddaj się! - zawołał Struan. - Człowieku, na miłość boską, rzuć ten rewolwer. Nie masz szans...

Urwał nagle, jakby został przez kogoś mocno uderzony. Gina dostrzegła uniesioną w kierunku bariery rękę, a potem usłyszała jeszcze jeden strzał.

Bolesne stęknienie... okrzyk przerażenia... głuchy odgłos uderzającego o skały ciała... bolesny jęk dochodzący z głębi przepaści... i cisza.

Nie miała odwagi podejść do krawędzi rozpadliny. Nie odważyła się nawet popatrzeć w tę stronę. Mick miał rewolwer. Nadal trzymała Lisę w ramionach. Odwróciła się tyłem do bariery i przyklęła, tuląc dziecko do siebie.



Przez chwilę panowała zupełna cisza. Potem usłyszała z głębi rozpadliny odgłos kroków i głosy, których nie była w stanie rozpoznać. Wiedziała tylko, że Lisa jest sztywna z przerażenia i że jej miejsce jest przy niej. Cokolwiek się wydarzy.

- Nie bój się, Lisa, już po wszystkim... - powtarzała, modląc się, by była to prawda.

Nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciła się z lękiem, ale to nie był Carter. Policjant o dobrodusznej twarzy, którego poznała owego pamiętnego wieczoru, przyglądał jej się z wyraźnym niepokojem.

- Czy nic pani nie jest?

- Nie - wykrztusiła, nie mając odwagi zadać pytania, które cisnęło jej się na usta.

- A jak ty się czujesz, Lisa?

- Dobrze - odparła dziewczynka. - Ten człowiek był niedobry, ale powiedział, że ty przyjedziesz, Gina, i naprawdę przyjechałaś. - Zarzuciła Ginie ręce na szyję i wybuchnęła płaczem.

Gina bezskutecznie czekała na dalsze słowa policjanta. W końcu zdobyła się na odwagę.

- A Struan? - spytała słabym głosem.

- Zaraz tu będzie.

- Więc on... - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Więc on żyje? A te strzały...?

- Nic mu nie jest - odparł policjant. - Został draśnięty w ramię, ale wyjdzie z tego zdrów i cały. Czego nie można powiedzieć o tym drugim. - Spojrzał na Lisę i uznał, że nic już nią nie wstrząśnie. - Skręcił kark. Doktor Maitland bada go na wszelki wypadek. Uparł się, żeby zejść na dół, ale ja widziałem, jak ten facet spadł, i moim zdaniem nie ma żadnej szansy.

- A co będzie, jeśli Mick jeszcze żyje? - Gina wstrzymała oddech ze strachu. - Niech pan tam wróci, proszę.

Jej niepokój był bezpodstawny. Usłyszała jakiś szmer, a potem odgłos kroków. W końcu dostrzegła Struana. Przykląkł obok niej i objął je obie zakrwawionymi rękami.

- Gina - wyszeptał, przytulając je do siebie. - Kochanie...

Później, o wiele później, gdy sanitariusze schodzili na dół, by zabrać zwłoki Cartera, a policjanci oglądali cały teren i zabezpieczali ślady, Gina poznała przebieg wydarzeń.

- Nie uwierzysz mi pewnie, ale postrzelił mnie w chwili, w której usiłowałem go uchronić przed spadnięciem w dół - mówił Struan.

Siedzieli z dala od krawędzi w ciepłych promieniach słońca, które dodawały im sił i otuchy po przeżytych koszmarze. Struan miał obandażowane ramię.

- Gdyby do mnie nie strzelił, uratowałbym mu życie.

- Ale to ty ściągnąłeś go z bariery.

- Doszliśmy do wniosku, że to jedyna szansa. Obejmował ją zdrowym ramieniem, Lisa siedziała między

nimi. Jeden z sanitariuszy chciał ją odwieźć, ale ona uczepiła się kurczowo Giny. Wołała być przy niej.

- Mogliśmy strzelić do niego od tyłu, bo skupił całą uwagę na tobie, ale Lisa była zbyt blisko. Gdyby pociągnął ją za sobą... - Potrząsnął głową. - Ale kiedy wystrzelił po raz drugi, straciłem głowę. Nie wiedziałem, do kogo strzela. Ściągnąłem go z bariery, nie czekając na Boba. Mieliśmy go złapać z obu stron, ale popsułem wszystko, bo dałem mu szansę naciśnięcia spustu.

- Niczego nie popsuleś - szepnęła Gina. - Zjawileś się w samą porę. Jak to zrobiłeś?

- Kiedy Maggie zadzwoniła, pogałem na policję - odparł, obejmując ją mocniej i całując w policzek. - Wiedziałem, że Bob nie robi żadnego głupstwa. Gdybyśmy przyjechali szosą, Carter mógłby cię zabić. Ale ta droga jest kręta, więc podjechaliśmy na motocyklu do podnóża góry, wspięliśmy się po zboczu i byliśmy na miejscu niemal równocześnie z tobą. Nie widział motocykla, bo rosła tu gęsta krzaki, a nie słyszał go, bo

niedaleko biegnie autostrada, więc warkot silnika został zagłuszony przez inne pojazdy.

- A więc zawdzięczamy nasze ocalenie harleyowi davidsonowi - powiedziała z uśmiechem. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Czy to znaczy, że po ślubie będę mógł zatrzymać motocykl?

- Och, Struan... - Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich miłość i przywiązanie. Po tym wszystkim, co mu zrobiła, znowu zaryzykował życie, by ją uratować.

Mówiła, że jest niebezpieczny, ale on nie był niebezpieczny. Był odważny, cudowny i godny miłości.

Stracił kiedyś wszystko, ale miał odwagę zacząć od nowa. Miał odwagę ją pokochać. Jakże mogła nie oddać mu swego serca?

- Możesz zatrzymać po ślubie wszystko, co chcesz - szepnęła.

- Pozwolę ci nawet zapuścić brodę.

Dostrzegła w jego oczach błysk triumfu.

- Nie ma mowy - powiedział, obejmując ją jeszcze mocniej.

- Dlaczego?

- Bo broda odizolowałaby mnie od ciebie, a ja chcę być jak najbliżej... do końca życia.

Jak najbliżej...

Lisa poruszyła się lekko i podniosła oczy na Ginę.

- Wydaje mi się, że on chce zostać moim tatą - oznajmiła.

Gina roześmiała się, a Struan uściskał Lisę.

- Tata... to dobrze brzmi - powiedział. - W każdej porządnej rodzinie powinien być przynajmniej jeden tata. Tata, mama, dziecko i pies. To zaczątek rodziny. Więc co pani na to, doktor

Buchanan? Czy ma pani odwagę pozbierać te kawałki i złożyć je w całość? Czy chce pani założyć rodzinę?

Oczy Giny były pełne łez. Cały świat wirował w radosnym uniesieniu.

- Rodzinę... - szepnęła. - Tak długo nie miałam rodziny, a tak bardzo o tym marzę.

Struan pocałował ją i dalszy ciąg jej odpowiedzi utonął w radosnej muzyce, którą usłyszała w swym sercu. Muzyce, która rozbrzmiewać miała do końca świata.

RS